MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 27. WARSZAWA, 6 LIPCA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

PACYFIKSACJA

Autorka wykończyła ten artykuł na kilka dni przed śmiercią. Zamieszczamy go na pierwszem miejscu dla uczczenia pamięci znakomitej lwowianki i ze względu na jego wartość. Karygodną robotę moralnego rozbrajania narodu piętnuje matka, która w r. 1919 podczas obrony Lwowa straciła ukochanego syna. Słowa jej wstrząsną sumieniem ludzi bez stylu, nie czujących tragizmu życia narodowego i popisujących się tanim racjonalizmem według ostatnich wskazań mody. — Red.

ZNAMY, zdawałoby się, historję Polski aż do ostatnich dni; wiemy, że onegdaj tuż nad naszą granicą zamordowali Prusacy urzędnika Polaka; toczący się we Lwowie proces ruskich bombiarzy ujawnił dziesięcioro hajdamackich przykazań, ten sam wilczy katechizm nienawiści, za którego wskazaniem zginęli przed wojną Potocki i Budkowski; zakatowano w 1919 r. dwudziestu dwu Polaków na złoczowskim zamku, a zabito już po wojnie Twerdochliba i Sobińskiego. Głosy z za Zbrucza to także nie gruchanie gołębi. W świeżej pamięci brzmią jeszcze ponure cyfry, jakie o morderczych zbrojeniach świata wyliczył w swym odczycie Nowaczyński. Cała Europa drży echem odmarszu wojsk francuskich, opuszczających brzegi Renu... A oto posłuchajmy, czem się martwią „przyjaciółki dzieci" w Polsce.

Pierwsza z nich, pani Kazimiera Alberti, młoda poetka o bogatym talencie, głosząca pacyfizm publicystka, sympatyczka pan-globizmu [1]), rozmawia z drugą, także młodą, tak pięknie utalentowaną pisarką, panią Ewą Szelburg, o jej książkach dla dzieci. Rozmawiają w Warszawie, rzecz prosta— po polsku. Posłuchajmy. P. Szelburg utrzymuje, że „literatura dla dzieci była dotychczas jakoby abstrakcyjna". Dziecko, przebywające w świecie królewien, królewiczów i czaru, gubiło się w pojęciach, których około siebie nie znachodziło. A przecie dzień powszedni w przeciwstawieniu do świata fantazyj

„ma także swój język, należy go więc uczyć zawczasu, aby potem nie był obcy". — „Bo oto — mówi autorka — zaczynają czytać sfery, które do książki nigdy nie przychodziły, ludzie nowi, być może mocniejsi".

Ich więc dzieci mają cudowność znaleźć w tem, co je otacza, w czem kiedyś będą żyć.

„Być może, że but, gwóźdź, siekiera — zrobione z zamiłowaniem są lepsze. Tego zamiłowania trzeba uczyć".

— „Tak mówi łagodna, gładziutko uczesana przyjaciółka dzieci" — objaśnia z upodobaniem p. Alberti. — „Bo czyż nie sądzi pani—podejmuje znów p. Szelburg—że bohaterstwo się zmieniło? Bohaterstwo dzisiejsze nasze jest jakoby bezimienne, nieme, milczące, codzienne, łatwiejsze do ujęcia. O tak, jest inne od dawnego. Różni się".

W nowych bajkach autorki znaleźć więc mają te nowe dzieci

„wszelką cudowność" w „duszach codziennych, prostych, pracowitych bohaterach dnia szarego".

I owszem, — ale dlaczego „w s z e l k ą"? Mam też ochotę wtrącić, że zawsze przecie były, są i będą, bohaterstwa bezimienne, milczące, codzienne—tak, jak były, są i będą, bohaterstwa imienne, głośne, niepowszednie. Do jednych i drugich każde dziecko w rozumnym narodzie powinno być sposobione przez wychowawców; dla obu typów

[1]) K. Alberti: „Przyjaciółka dzieci" „Świat Kobiecy" nr. 10 r. b. K. Alberti; „Szkodliwy szowinizm" „Wiadomości Literackie" nr. 2. r b. K. Alberti: „Rola kobiety w idei pacyfizmu" „Świat Kobiecy" nr. 10, 1929.

bohaterstwa powinno mieć wpajaną cześć i to jaknajwcześniej, tak, jak żadna z rasowych polskich matek nie czeka z nauką pacierza, aż go dziecko zrozumie.

Ale oto p. Alberti rzuca pytanie, czekając, jak sama wyznaje, na odpowiedź:

„A mała szabelka, ostrogi, batożek? Dzieci to czasami tak lubią! Pani to zna: żołnierzyki blaszane, kaski z tektury, czasami nóż kuchenny (cytuję dosłownie!), piosenka o ułanie tratowanym".

— „Dzieci to lubią? — prostuje łagodna, gładziutko uczesana przyjaciółka dzieci — nie zawsze. Myli się pani. Jest to wina matek. Przedewszystkiem matek. To coś strasznego, gdy matki pozwalają bawić się szabelkami. Jest w tem coś niemoralnego, co należy piętnować. Częstokroć matki nie zdają sobie sprawy ze skutków takiego wychowania. Pomyśleć! Kobieta, która rodzi! Przecież przez takie wychowanie zabija własne dziecko! Nie. Nie szabelka: kwiatuszek, źródełko, pisklę, narzędzie rzemieślnicze".

Oto jest odpowiedź autorki, piszącej dla polskich dzieci — po polsku.

„I właśnie taka! — stwierdza z ulgą druga, po polsku pisząca autorka. — „To jest radosne. To jest ważne — cieszy się dalej—te słowa piszę w ten sposób, jakby to ptak leciał gdzieś wysoko w niebo" — kończy rozradowana.

Tak. Zapewne z ptasiej perspektywy można się radować niejednem, co dla człowieka jest zgubne. Nie zaszkodził naszym synom „Katechizm polskiego dziecka" Bełzy, choć był surowy i twardy i nie radosny lot w niebo nakazywał, lecz przeciwnie — obowiązek wobec własnej ziemi, ten, który się winno choćby życiem okupić. Choć niema cienia nienawiści w tym „Katechizmie", przydał się na Wielkiej Wojnie! A teraz jakże to te gołębie gruchają? Więc „języka dnia powszedniego", którym mają mówić „ludzie nowi, być może mocniejsi", należy uczyć zawczasu, „aby potem nie był obcy". Trzeba uczyć zamiłowania do buta, gwoździa, siekiery — a oduczać szabelki, ostróg, żołnierzyków blaszanych, tekturowych kasków—aby potem były obce? No tak! Chyba że tak! Jedno hodować, drugie tępić, bo się tem „zabija własne dziecko"?!

Jeżeli tak, moje panie, to właśnie wasze łagodne, gładziutko uczesane słowa są straszne. Bo zabija własne dziecko raczej ta matka, która tępi w niem samozachowawczy instynkt gatunku, odrębność rasy, instynkt obrony przed wszystkiem, co zagraża narodowi, co mu odbiera spoistość i siłę. A już najstraszniejsze, to ten „czasami nóż kuchenny"! Kto śmiałby przed wojną nazwać jednym tchem z szablą, ostrogami i kaskiem, choćby z tektury, — nóż?! Kto widział zresztą cywilizowaną a choćby tylko rozsądną Polkę, która „pozwala" brać dziecku do zabawy nóż? Dziadowie nasi pisali się „po mieczu i po kądzieli"; podczas Ewangelji na znak pogotowia śmierci za wiarę dobywali z pochew karabele; te same karabele, nie od parady, obok ryngrafu z Matką Bolesną wisiały nad ich posłaniem. „O broń i orły narodowe" modlił się Mickiewicz. W kulcie szabli umacniała naszych synów „Trylogja" — a teraz oto, gdy nam rycerska tradycja pomogła zwyciężyć, słyszy człowiek taki gołębi duet, w tej samej Warszawie, którą przecie nie kwiatuszkiem, źródełkiem, pisklątkiem, narzędziem robotniczem wojska nasze obroniły od bolszewików!

Orężowi naszemu, męstwu naszych żołnierzy— poza wszystką łaską Bożą — zawdzieczają polskie matki, że ich dzieci nie włóczą się dziś w bandach bezdomnych sierot, jak parszywe psy! I ładnieby wyglądały szarże pod Rokitną, czy Maniewiczami, gdyby każdemu ułanowi ściskało się serce nad tratowanym kolegą! Ładnie ruski miesiąc we Lwowie i zima po nim, gdyby nasza młodzież rosła była w pogardzie dla bagnecika!

Pani Alberti w artykule swym „Rola kobiety w idei pacyfizmu" zdaje sobie jasno sprawę z doniosłości wpływu na młodzież:

„Dłoń nauczycielki, to właśnie ta, która kształtuje i jakby ulepia naszą duszę. I to w okresie, kiedy ta dusza chłonna jest jak gąbka".

Ale zaraz słyszymy lament nad duszami, które nauczycielka wychowuje rzekomo

„w nienawiści do bliźniego"... „uczy szanować tylko naród a nie cały świat — wszystkich ludzi". Że ten, „który mówi innym językiem, albo ma inny kolor skóry, albo na swój sposób modli się do Boga — jest naszym wrogiem". — „Doprawdy czas—woła autorka—aby matki zażądały zmiany trybu wychowawczego w szkołach i aby nauczycielki całem sercem stanęły przy tych rozumnych żądaniach".

Następnie ostra krytyka kobiecego skautingu w Polsce. P. Alberti stwierdza, że jest to poprostu organizacja wojskowa,

„więc najniebezpieczniejsza, bo działająca na umysły najmłodsze". Ubolewa dalej, że „każda drużyna ma swoją patronkę; wiem, że istnieją drużyny Emilji Plater, Pustowojtówny, Chrzanowskiej, ale nigdy nie słyszałam, aby istniała np. drużyna Curie Skłodowskiej",—„wychowanki skautingu obkuwają się życiorysami swoich wojennych bohaterek, połykają całą literaturę dotyczącą tych postaci".

Czytamy dalej pełen szyderstwa opis ćwiczeń taktycznych, „korony tego całego wychowania", „piosenek wojennych, referatów historycznych, gwizdków na zbiórkę", zadań, w których pisząca sama brała udział w swoim czasie. Więc jesień, słota, lasek za miastem. Drużyna podzielona na dwa obozy — „nieprzyjacielskie" zaznacza z naciskiem p. Alberti. Wzgórze jest w posiadaniu obozu A. Obóz B. ma to wzgórze odebrać nie walką, ale „sprytem i chytrością". Opis czołgania po mokrych liściach. Gdy kałuż nie można ominąć, trzeba je przepełznąć. Chlupot wody. „Nieprzyjaciel już słyszy. Ma czujne uszy. Zabiera do niewoli. Takiej biedaczce, zabranej do niewoli, liczyła potem drużynowa parę punktów *minus*". Pisząca zastrzega się wprawdzie, że nie jest zacietrzewioną, mówi jednak dalej szyderczo:

„Co za cacana zabaweczka! Jakie rozkoszne widowisko!" — „Ale „hurra!" obóz B. zdobył wzgórze" „ćwiczenie chytrego podślizgiwania się, pościgu, wyrabia rzeczywiście piękne cechy charakteru. A korzyść fizyczna? Oddychanie błotem, zgniłemi liśćmi, wilgocią, mgłą".

Nie, stanowczo, nienajgorsze to błoto i te liście, po których czołgał się obóz B. Gorsze bez porównania takie drwiny, wygłaszane po polsku w dobie straszliwych, jawnych zbrojeń świata.

Więc sąsiedzi nasi mogą się ćwiczyć w chytrem podślizgiwaniu pod naszą granicę i mordować, mogą mieć czujne uszy, ostrzyć sobie na nas apetyty i pazury — ale my mamy pozostać wzniośle łagodni, szanować „cały świat", „piętnować" szabelki i kaski tekturowe, jako zabawki niemoralne! Chyba ktoś, kto oczu nie ma, albo je umyślnie zamyka, może twierdzić, że pora już na takie panglobowe: „Kochajmy się!". Zdrowie to pijają zresztą Polacy pod sam koniec uczty, a na bankiet, o którym mowa, dopiero ostrzy się sztućce.

P. Alberti przyznaje, że skauting ma i piękne przykazania, np. „na zwierzę nie poluj inaczej, jak tylko z aparatem fotograficznym", nie rozumie jednak, dlaczego ten sam skauting „uczy polować na człowieka—z bronią". „Czyżby ludzie gorsi byli od zwierząt?".

Tu już kończy się pacyfizm naiwnych pacunelek — tu już się zaczyna pacyfiksacja. Gorzej, to jest insynuacja i zniewaga.

Czyżby p. Alberti naprawdę nie chciała wiedzieć, że na wojnie, którą sprowokował, ten biedny, zapoznany wróg celuje w nas także nie z Kodaków, ale z armat i karabinów? Że ten wróg bywa czasem stanowczo gorszy od bezbronnych zwierząt? Czy polskie wojsko polowało kiedy na bezbronnych ludzi? Czyżby p. Alberti nie wiedziała, jaka jest różnica między myśliwym a żołnierzem? Łagodny gołąb pokoju zastanawia się natomiast:

— „skąd bierze się ta jakaś bezwzględność i mściwość aby w człowieku innej narodowości widzieć — wroga? Z jakiego to płynie źródła? Dopóki w skautingu będą istniały te wady, będzie on instytucją wychowawczą, raczej szkodliwą".—„Tak pojęty jak teraz, jest przedszkolem wojskowem. Jest napozór niewinną freblówką wojskową, której wychowankowie, gdy dorosną, szybko zmienią drewniane bagneciki na ostrą broń, a gwoździe w obcasach na ostrogi. I chociaż podnosili kiedyś skaleczonego konia — ostrą bronią dokopią się do serca żyjącego człowieka i rozprują je, jakby to była zabawka napchana trocinami a ostrogą zaryją się w brzuch wroga! Człowieka!"—woła autorka, — zupełnie tak jakby demaskowała szkołę zawodowych zbirów. „Nad tem trzeba głęboko i po ludzku pomyśleć" — kończy znacząco.

Bezwarunkowo. Nad tem trzeba głęboko i po ludzku pomyśleć. Trzeba zdać sobie sprawę, że to przecie nic innego, tylko obóz B. podczołguje się pod obóz A. Że chce go zdobyć nie walką, ale poprostu „sprytem i chytrością" i że takie łagodne, naiwne gołębie, nie znoszące wprawdzie przedmiotów spiczastych, wypuszczane bywają „w niebo" w celach aż nazbyt wojennych, wypuszczane (same nieraz Bogu ducha winne!) przez ręce, pod podłogą dziejów ukryte, ręce sprawne, świadome, niezawodne... I że czasem po takich rękach należy trzepnąć. Przedewszystkiem zaś wiedzieć, że hasłem tych z pod podłogi jest nietyle: „Jeden pasterz i jedna owczarnia" — ile: jeden wilk i jedno stado baranów.

Miłość bez wzajemności służy tylko dobrym poetom, w polityce jest samobójczym nonsensem. W polityce, a w wychowaniu także, zawsze rozstrzygać będzie ostatecznie zdrowy instynkt samozachowawczy narodu. Że tak jest, dowodzi już choćby to samo, że owe sprawne, świadome, niezmużone ręce, ciągnące za sznurki ukryte pod sceną świata, te ręce, za których wolą ruszają się różne kukły i gołębie, chcą właśnie nam, właśnie ten zdrowy, prosty instynkt zachowawczy odebrać. Można zacząć i od dziecinnej szabelki... Instynkt, który nie był w nas nigdy nienawiścią, był jedynie pierworodnym rozumem rasy. Nie z nienawiści do cudzego przeciwnika stanęli Kościuszko i Pułaski przy Waszyngtonie. Miłość ojczyzny i wolności, nie nienawiść, zwerbowała 60 tysięcy polskich ochotników orłom Napoleona. Kto bił się „za wolność naszą i waszą", ten ma sumienie czyste. Ale rozum, pamięć i baczność musi kształcić w sobie każdy, kto chce żyć — człowiek, czy naród, kształcić od dziecka! A dziś tembardziej, kiedy nakaz ochronnego pogotowia wolną, odpowiedzialną Polskę obowiązuje tem święciej. I dobrze nadsłuchiwać co w naszej trawie piszczy. I obóz A czytać też winien uważniej, co głosi „obóz B"! Oto cytat z zeszytu sportowego pisma „*Motor-rad*" (nr. 22, dnia 31/V 1930. Verlag Georg Koenig Berlin) —w którem Georg Victor Raatz, następującem wezwaniem kończy opis wycieczki nad korytarz gdański:

— „A teraz, druhy-towarzysze, prośba! Nie, raczej wezwanie! Okażcie naszym braciom, tam hen, na wschodzie, żeśmy im tak samo wierni, jak oni nam. Przyjrzyjcie się na waszych wędrówkach Prusom Wschodnim, zobaczcie, jak uroczo pięknym jest ten szmat naszej ojczyzny! Nie pożałujecie! A potem dołóżcie starań, każdy z osobna, aby hasło wyryte na cokole pomnika na Marienburskim rynku, nie traciło swej mocy! Stoi tam posąg krzyżowego rycerza w bojowym płaszczu, hełmie i zbroi. Wzrok posągu błądzi po dziedzinach — daleko, pięść ściska rękojeść miecza, a na wargach drżą mu słowa: „Ta ziemia pozostanie niemiecką!"

Chyba wyraźnie? I czy może się kto łudzić w Polsce, że sprzeciw temu hasłu krzyżaka nie będzie wymagał kiedyś — może niedługo — bardzo nawet szybkiego zmienienia „drewnianych bagnecików na ostrą broń, a gwoździ w obcasach na ostrogi"? Czyż ta chwila miałaby nas zaskoczyć rozbrojonych duchowo i fizycznie, zakochanych bez wzajemności w „całym świecie" i dopiero w czarnej godzinie zmuszonych walczyć ze wstrętem — do szabli?!! Czyż mielibyśmy istotnie pozować z uprzejmą miną (*bitte nur freundlich!*), conajwyżej z aparatem fotograficznym, aż tamci z „obozu B." — sprawni, baczni, wyćwiczeni, dokopią się nam do żywego serca, rozprują je,

„jakby to była zabawka napchana trocinami, a ostrogą zaryją się w brzuch"!?.

Dokopią się i rozprują z pewnością, o ile wpierw sami damy się napchać trocinami.

Nie, moje panie, nie łagodne, krążące po niebie ptaki! Na wasze gałązki oliwne zawcześnie. Póki nie podacie nam wiadomości zupełnie pewnych, że królestwo Boże na ziemi już jest proklamowane, że weszło w życie wszędzie, że nie-

mieckie matki i niemieccy nauczyciele chowają swoją młodzież także na kwiatuszku, źródełku, pisklątku, narzędziu rzemieślniczem, że na całej naszej granicy, za płotem każdego z naszych dworów, słychać jedynie gruchanie synogarlic i beczenie jagniąt — dopóty niewolno nikomu wyjmować nam z rąk szabli czy „szabelki" — przenigdy zaś „piętnować" nawet zabawek-symbolów, jako „niemoralne", mówić o nożu kuchennym obok „piosenki o ułanie tratowanym", insynuować naszym harcerkom programu godnego zbirów — i to w Polsce, po polsku! A nauczyciele nasi, oby stali istotnie, „całem sercem", na straży słów, jakie Krasińskiemu pisze w liście Słowacki: „Wierzmy w narodowości, to jest w solidarne misje duchów, powiązanych z sobą wspólną odpowiedzialnością, a stąd wypływa, że miłość ojczyzny jest instynktowem uczuciem tej odpowiedzialności, a poświęcenie się za nią nie jest szaleństwem — ale koniecznością.."

Lwów, 1930. MARYLA WOLSKA

„GDY W GDAŃSKU NIE PŁACI PSZENICA"...

PRZED kilkudziesięciu laty modne były i wzbudzały niepokój teorje o grożącem jakoby nieuchronnie przeludnieniu ziemi i o katastrofach stąd wyniknąć mających. Dowodzono matematycznie, że ludzkość wzrasta liczebnie w stosunku geometrycznym, podczas gdy produkcja środków żywności wzrasta wprawdzie również, ale tylko w stosunku arytmetycznym, że więc ta druga w żaden sposób nie może dotrzymać kroku pierwszej i klęska chronicznego głodu jest nieunikniona, o ile wzrostowi liczby ludności nie położy się tamy. Od lat szkolnych, niestety już dalekich, piszącego te uwagi, ludność kuli ziemskiej wzrosła okrągło o 20%, a produkcja żywności dotrzymała jej jednak kroku, skoro czytamy obecnie o „katastrofalnych" urodzajach, i nie tylko zresztą czytamy, ale skutki tej paradoksalnej katastrofy, przeciwnej tej, jakiej obawiał się biedny Malthus, odczuwamy dotkliwie na własnej skórze.

Pszenica w Gdańsku nie płaci. O ile sądzić można z popularnej niegdyś piosenki, to przestała płacić już dość dawno, jednak były w tej kiepskiej konjunkturze także dobroczynne przerwy, a ostatnią, którą wywołała światowa zawierucha wojenna, pamiętamy wszyscy doskonale. Teraz jesteśmy znów na dolnym poziomie cen na zboże i powstaje ważna kwestja, czy jest to zjawisko przejściowe, czy też ustali się na czas dłuższy, przynajmniej do nowej jakiejś zawieruchy. Odpowiedź na to pytanie należy, oczywiście, do specjalistów, jednak wysoce prawdopodobne jest, że mamy tu do czynienia ze zjawiskiem stałem: nie darmo przecież od tylu lat już dymią kominy Chorzowa, Leunawerke i in. fabryk nawozów azotowych i wywiera chyba swój wpływ na wydajność gleby postępujące wciąż fachowe kształcenie rolników. Nagromadzenie się rezerw zbożowych jest faktem, którego nie zdołała maskować już dłużej spekulacja, trzymająca w swem ręku światowy handel zbożowy. Widocznie więc dzisiejsza produkcja nie tylko wystarcza na opędzenie potrzeb bieżących, ale daje również pewną nadwyżkę; zmieniać się ten faktyczny stan rzeczy może tylko sporadycznie, w razie większego nieurodzaju na wielkim obszarze, ale na tem oczywiście nie można opierać oceny stałej konjunktury. Rolnictwo nasze i gospodarstwo narodowe musi z tego wyciągnąć odpowiednie konsekwencje.

Tu przychodzi przedewszystkiem na myśl, że rolnictwo nasze, zwracając swe wysiłki, zgodnie zresztą z wybitną konjunkturą lat wojennych, ku zapewnieniu nam chleba powszedniego, zaniedbało całkowicie myśl o przyodziewku, dawniej również przez to rolnictwo w pokaźnej mierze dostarczanym; zniknął prawie zupełnie len, znika również i wełna rodzima. Hodowla owiec zmniejszyła się w porównaniu ze stanem przedwojennym kilkakrotnie, nie czytujemy już sprawozdań i notowań z „placu Witkowskiego", a z kroniki towarzyskiej Warszawy ubyły opowieści o ogorzałych, o zawiesistym wąsie szlachcicach z prowincji, ściągających do stolicy na jarmarki wełniane i zostawiających znaczną część zdobytej gotówki w lokalach zabawowych, nie wyłączając klubów, gdzie operowali paniczykowie ogoleni z angielska i bardziej od prowincjonalnych hreczkosiejców doświadczeni przy zielonym stoliku. Dziś stan jest taki, że na wypadek izolowania np. przez wojnę, nie będziemy mogli odziać nietylko ogółu ludności, bo tego już od dawien dawna nie byliśmy w stanie czynić, ale nawet armji. To też armja, jak wiadomo, propaguje gorąco odrodzenie hodowli owiec i miejmy nadzieję, że w dzisiejszej konjunkturze rolniczej dopnie swego.

Trudniej bodaj będzie z lnem, gdyż jego uprawa jakby sprzeciwiała się temu, co nauczono nas nazywać „naturalnemi" tendencjami gospodarczemi, a co w rzeczy samej jest tylko wynikiem anarchji, szerzonej przez wielki przemysł kapitalistyczny. Len wypadł z łaski, mimo że przez wieki całe dobrze służył ludzkości, a lud śpiewał o nim pieśni, nazywając go karmicielem i darząc pieszczotliwemi nazwami. Ma on bowiem wielką wadę na dzisiejsze czasy: jest bardzo trwały. Wyparła go tańsza i lichsza bawełna. Z drożyzną poradzonoby sobie jeszcze, ale trwałość — to grzech nie do wybaczenia. Dzisiejszy wielki przemysł ma, mówiąc ogólnie, tylko interesy produkcji na oku; interesy konsumenta są w pogardzie, zdobywa się go głównie suggestją reklamy i liczy na to, że ta wszystko w ludzi wmówić potrafi. Wydoskonalona do najwyższych granic technika fabrykacyjna nie tylko pozwala, ale i zmusza do ciągłej, wielkiej produkcji, gdzież więc może być miejsce na trwały materjał? Co będą fabryki robiły, jeżeli koszula będzie trwała bez końca? Racjonalne z punktu widzenia wielkiego przemysłu jest produkowanie materjału lichego, to też robi się je coraz lichsze, a w dodatku jeszcze służbę nawet tego lichego materjału skraca się sztucznie przez ustawiczne i częste zmiany mody, dytowane nie przez elegantów, jak sądzą naiwni, lecz przez wiel-

kie firmy przemysłowe. Zamiast należytego uwzględnienia prawdziwego interesu konsumenta, gra się tu na naturalnej ludzkiej skłonności do zbytku i umiejętnie tę skłonność podnieca. Pewna doza zbytku jest niewątpliwie na wszelkich szczeblach zamożności życiową koniecznością. Smutne byłoby życie, gdyby się trzeba zawsze i we wszystkiem ograniczać do rzeczy tylko niezbędnie koniecznych. Człowiek najbardziej sobie ceni właśnie to, co ma ponad *quantum* niezbędne. Próżne byłoby też rzucanie gromów na skłonność do pięknego ubierania się. Ale czy chorujemy na brak tych skłonności i czy rolą warsztatów wytwórczych jest sztuczne ich podniecanie? Można wątpić.

Przed niedawnym czasem wielkie kapitały postawiły sobie za cel doprowadzenie do tego, żeby każdy t. zw. popularnie „tłumok“ chadzał ubrany w jedwabie. Myśl może nawet chwalebna, ale czy zabrano się do znalezienia sposobów udostępnienia masom tak znakomitego materjału, jakim jest pod wszystkiemi względami jedwab? Nie, uczyniono wielki wysiłek myśli i energji twórczej, zaangażowano olbrzymie kapitały na to, żeby wyprodukować coś, co zewnętrznie naśladuje prawdziwy jedwab, jest zaś lichotą pod każdym względem. Nikt tego nie zbadał, ale jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że przy skierowaniu takich wysiłków myślowych i materjalnych do rozpowszechnienia hodowli jedwabników, możnaby istotnie ten cenny materjał uczynić dostępnym również i dla mniejszych kieszeni.

W dzisiejszem życiu gospodarczem takich paradoksów jest pełno. Roi się w przemyśle od fabrykacyj rozmaitych tworów „sztucznych“, będących imitacją czegoś prawdziwego, dobrego; wszystkie te przemysły spekulują na fascynującym wpływie, jaki ma na umiejętnie podniecaną masę nowość i zbytek. Ekonomiczna ocena tego zjawiska sprowadza się zazwyczaj do komunału, że przecież to wszystko daje ludziom zajęcie, jest więc pożyteczne. Sądzę jednak, że należyte, gruntowne zbadanie wszystkich tych sztucznych jedwabi, sztucznych wełn, sztucznych skór i t. d. zadałoby kłam tej legendzie. Jest tu w każdym razie pokaźna liczba ciekawych tematów na dysertacje doktorskie i nie wątpię, że jednak nauka weźmie się do należytego wyjaśnienia tych zjawisk z punktu widzenia ogólno-społecznego.

Gdyby to było w mojej mocy, to pierwszej zgłaszającej się kandydatce na doktora nauk kameralnych dałbym jako temat rozprawy kwestję pończoch: pozycję, jaką zajmują dziś w budżecie domowym kobiety i w budżecie społecznym w porównaniu z niedawnym jeszcze czasem. Nie pragnę tu robić kiepskich dowcipów, uważem, że sprawa ta jest naprawdę bardzo dosadnym i każdemu dostępnym przykładem niesłychanych harców, jakie dzisiejszy „racjonalny“ porządek gospodarczy wyprawia z naszemi kieszeniami, zmuszając do kupowania coraz to droższych, a coraz lichszych rzeczy.

Odbiegliśmy dość daleko od naszego poczciwego lnu. Muszę się jednak przyznać, że użyłem go jako pretekstu do zwrócenia uwagi na to, iż t. zw. „naturalne“ tendencje rozwojowe nie przyniosą nam same z siebie rozwiązania zadań, jakie stawia przed nami zmieniające się położenie gospodarcze, szybki wzrost ludności i dążenie do możliwie daleko posuniętej samowystarczalności. Tendencje owe nie są bynajmniej tak naturalne, jak się mówi, przeciwnie, są najczęściej wytworem sztucznym, kierowanym przez świadome swoich celów czynniki, nam często wrogie, a oprócz tego pod pozorami racjonalności kryją właściwie gospodarczy bezład i marnotrawstwo. Jeżeli chcemy więc przebudować nasze gospodarstwo narodowe tak, żeby naprawdę odpowiadało naszym potrzebom, to niebezpieczne jest bierne poddawanie się prądom panującym, bez bacznego przyjrzenia się im i skorygowania. Konieczna jest tu samodzielna, twórcza myśl polska, konieczne uświadomienie, któreby nauczyło taką myśl cenić i dało jej należyte oparcie.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

GORNYM CIĄGIEM

WEDY niejednokrotnie używają określenia „najwyższy ptak wędrowny“, jako symbolu dla mędrca, który osiągnął najwyższy stopień życia duchowego. Twórcy świętych ksiąg hinduskich posiadali żywe poczucie biegu świata, jego rozwoju i hierarchji, co zdumiewać może dumną ze swoich zdobyczy współczesną filozofję fizykochemiczną. Zaczynamy dzisiaj i my pojmować nietylko całość bytu, ale i zjawiska życia ludzkiego w kategorjach ruchu, a czas przez to samorzutnie staję się czemś w rodzaju czwartego wymiaru przestrzeni. Każdy przedmiot, każdy człowiek uczestniczy w tym biegu powszechnym, każdy ma swoją historję, jako czwarty wymiar swojej wartości. Historje te bywają poziome, lub górne, o treści ubogiej, lub bogatej, o małym, lub wielkim zasięgu. Zbiorowiska ludzkie, społeczeństwa, narody pełzną, idą, kroczą, biegną, nad nimi przewodnicy ich, twórcy, zwiastuni lecą niższym lub górnym ciągem, niby ptactwo wędrowne, jedno niżej, inne wyżej według lotu swojego, bliżej, lub dalej — według sił i widnokręgów ducha. A ponad wszystkiem od czasu do czasu, od wieku do wieku — najwyższy ptak wędrowny.

Tak widziana poezja, narówni z każdą inną dziedziną twórczości ludzkiej, ma swoje ciągi, a że jest sztuką, przytem w założeniu — sztuką o wielkiej rozpiętości skrzydeł, przeto nie przystoją jej ciągi zbyt przyziemne. Stosuje się to zwłaszcza do poezji rytmicznej i rymowanej, która przez samą już obecność rytmu i rymu spokrewnia się z muzyką, co obowiązuje do lotu wyższego. Poezja muzyczna o treści poziomej staje się podwójnie ordynarna, bo pretensjonalna. Niestety, w ostatnich czasach obowiązki coraz mniej obowiązują. Na rynku księgarskim zjawiła się poezja, prawdziwie rynkowa, o zewnętrznym wyglądzie poezji, ale o treści tak pospolitej, miałkiej, nijakiej, a w sumie — nudnej, że mogłaby służyć, jako aptekarski środek naziewny. Co gorsza — z ubóstwa swego uczyniła sobie program i reklamę. Uważa siebie za wyraz pokolenia, wśród którego powstała, każe się nagradzać i honorować. Krytyka potulnie idzie za nią, wyolbrzymiając w opinji znaczenie jej

i powagę. Z maleńkich przeżyć buduje się pełne wnikliwości rozprawy analityczne, z dreptania na miejscu — syntezy rasy i życia. Obniża się gwałtownie poziom gustów i wymagań, żeby poezji tej dać pozór wyżyn i lotu.

Nie mam tu na myśli rozpanoszonej poezji kryptożydowskiej, ta bowiem nie należy do literatury polskiej. Mówię o ostatniem dziesięcioleciu poezji polskiej. Wprawdzie znać na niej wpływu najazdu owych Kwiprokwoków z Nalewek, lecz ostatecznie, każdy ulega tylko takim wpływom, na jakie sam zasługuje. Dziwna to poezja, w której niema zachwycenia! Do rytmowania i rymowania zabrał się człowiek szary, a zabrał się, jak do fokstrotowania. W głowie i w sercu pusto, lecz w rytm się ubrał, jak we frak, wzuł rymy — lakierki — i oto gotów. Bylejaki strzęp zwykłego spostrzeżenia już mu za dostateczną służy posadzkę do posuwania się krokiem tanecznym na przestrzeni stroniczki tomiku, stroniczki o wielkich, zresztą, polach białych dookoła i wielce myślących wielokropkach pośrodku. Niema tu ani jednego uczucia, ani jednego poruszenia duszy, ani jednej myśli przebłysku. Niema nawet zamiłowania do samej formy, przeciwnie, należy tu do programu lekceważenie formy i jej zniekształcanie. Niema ani tonu, ani nastroju... Cóż mówić o zachwyceniu! O podniosłości! O locie górnym! O spojrzeniu dalekiem! A czemże bez tego jest poezja, jeśli nie pustą fokstroterką? Z wyjątkiem kilku małych rozmiarami utworów, które da się z dziesięcioletniego dorobku poezji polskiej jako istotne wartości poetyckie wyłowić, całość tego dorobku wywiera wrażenie przygnębiające.

W takiej oto atmosferze przyziemności i oschłości, a raczej — ponad nią zjawił się świeżo w „Bibljotece Medyckiej" wydany tom utworów poetyckich p. Michała Pawlikowskiego p. t. „Harfa Eola". Od pierwszego otwarcia książki ogarnia czytelnika rzeźwość wyższych warstw powietrznych. Niema wątpliwości: znajdujemy się tu w górnym ciągu poezji, a więc tam, gdzie treść odpowiada jej nazwie. Przedewszystkiem — przyroda: hymny — „Do ziemi", „Do wody", „Do powietrza". Same tytuły już dziwnie brzmią w uchu, rozbolałem od ulicznego i kawiarnianego gwaru poezji współczesnej! Gdziekolwiek, zresztą, zwraca się tu myśl poety, jakikolwiek temat podejmuje, pełne tchnienie przyrody towarzyszy mu wszędzie. Z niej czerpie porównania, ona mu daje ton i rozmach swoisty. A pomimo nalotów literackich, które jeszcze się tu plączą z greczyzny i romantyzmu polskiego, jest ta przyroda własnym tworem przeżyć i doświadczeń urodzonego rolnika, myśliwca i taternika. Pierwszy to warunek świeżości, siły i oryginalności! A pod bezpośredniem widzeniem i znawstwem przyrody kryje się tu jeszcze wiedza o niej, wiedza naukowa, jako wspaniałe dziedzictwo kilku tysięcy lat cywilizacji — tak opanowane i niejako w krew nasiąkłe, że bez cienia dydaktyzmu, z zupełną swobodą objawia się w porównaniach, zestawieniach i określeniach czysto artystycznych.

Zatrzymajmy się chwilę na tych i owych urywkach, któremi pragnę, niby świadkami, wesprzeć przed czytelnikiem sąd swój o rzeczy. Oto np. „Hymn do wody", jeden z najpiękniejszych w zbiorze. W dwudziestu dwóch zwrotkach tercyny trzynastozgłoskowej, o rytmie podniosłym i zarazem wartkim, poeta sławi wodę — naprzód w rzucie, że tak się wyrażę, geograficznym, od gór do morza, potem w płaszczyźnie (że tak powiem) meteorologicznej w różnych zjawiskach wody, jak mgła, deszcz, śnieg, wiosna, lato, zima, następnie w ciągu, że tak to nazwę, geologicznym, według prac, które woda na globie ziemskim dokonywała, dalej w tragicznym obrazie historycznym o zatopionych narodach Atlantyd i wreszcie kończy jasnym krajobrazem Grecji i zakończeniem filozoficzno-moralnem. To wszystko ujęte barwnie, plastycznie, swobodnie, z wysokim artyzmem obrazowania, w doskonałem stopniowaniu budowy, pięknym językiem i stylem. Podam tu dwie zwrotki, jako próbę mowy godną wielkiej poezji polskiej:

Mgło siwa, podnosząca się z oparzeliska!
Ciemne jeziora chyżo przez powietrze gnane!
Chmury rude, po których nawałnica błyska,

Chłostą deszczów rażące i rozgrzechotane
Gradami, które w gniewie Bóg na pola ciska!
Jakże słowy przy waszej wspaniałości stanę?

Czuje się tu nie wpływ, ale we krwi płynące dziedzictwo Kochanowskich i Mickiewiczów, z ich realizmem, dostojnością i zachwytem, w jeden szlachetny stop mowy i stylu w ogniu ducha litemi. To też z zespołu tak wielu zalet wrażliwości, doświadczenia, wiedzy naukowej, wykształcenia literackiego, rasy, tradycji i własnej górności tonu, raz w raz wyłaniają się, jakoby same, trafne, śmiałe i mocne porównania w tym oto rodzaju, jak w „Hymnie do powietrza" jednem mistrzowskiem pociągnięciem pendzla malarskiego zobrazowane upalne południe:

„Lipcowego południa wiszące płomienie!"

Impresjonizm w najlepszym gatunku, zakuty w klasyczny kształt żyłkowanego marmuru o barwach rubinu i bursztynu!

W hymnach p. Pawlikowskiego dają się wyraźnie wyczuć wpływy niektórych hymnów Rigwedy. Zaznaczam to na korzyść poety dla uzupełnienia wielkiej cięciwy jego kultury poetyckiej, jako, między innemi, doskonałego tłumacza „Iljady" na gwarę zakopiańską, oraz na literacki język polski wspaniałych rubai Omara Chayama. Tak dalekie i wysokie patronaty czynią zaszczyt poecie, a nie są groźne dla człowieka o dużej kulturze nowoczesnej. Czegobym raczej obawiał się dla poety — to zbytniego przejecia się formą Słowackiego. Jest to sprawa, jak sądzę, nie tyle ducha, ile nerwów, które łatwo się nałogują, a p. Pawlikowski, jako pierwszorzędny znawca Słowackiego, miał wiele sposobności do nerwowego nasycenia się formą wybujałego romantyka. Teraz, ratując siebie, będzie musiał środkami stanowczemi pozbyć się kwietnych opyłów polskiej Pytji romantycznej. Tylko oby nie w kierunku rozgłośnej współczesności, o którą w tym i owym utworze zawadza rozciekawiona wrażliwość autora!

Kilka o dzisiejszym posmaku utworów, w zbiorze zamieszczonych, jedną poecie dają wyraźną wskazówkę: nie powinien lotu swojego do ich poziomu obniżać. Ani na chwilę, ani na próbę! Poeta porusza się tu, jak ów albatros Beaudelaire'a na pokładzie statku. Duże skrzydła wloką się za nim, jak wiosła, po deskach pokładu. Dla pewnych duchów poezja nie może być nigdy systemem chodzenia. Albatros w roli bezlotka! Lepiej już w otchłaniach milczenia zniknąć tam — ponad chmurami... Takie uwagi wybłyskują z papieru pomiędzy wierszami kilku naturalistycznych obraz-

ków, gdzie coraz to jakieś porównanie, lub słowo nie z tego świata, niby machnięcie wielkiego skrzydła wali, jak wiosłem, w polepę i ściany ciasnego, z umysłu zacieśnionego tematu. Żeby nie było wątpliwości, o czem mówię, wymienię dwa tytuły utworów tego rodzaju — „Droga w nocy" i „Deszcz". Dla autora tak skończenie pięknych i głębokich poematów, choć rozmiarami maleńkich, jak „Pamięć" i „Powitanie", otrząśnięcie się z powierzchownych zaciekawień techniki artystycznej nie będzie rzeczą trudną. A jest konieczną tembardziej, że modne dziś, rozmyślne zwichrzenia formy wkradają się nawet do górnych ciągów poety, jak to, naprzykład, stało się w utworze p. t. „Rano", gdzie pierwszy wiersz i ostatni są wykąszone—jeden z lewa, drugi z prawa. Co do mnie, to bardzo nie lubię takich strzępów i frendzli, niczem nieuzasadnionych. A rzecz jest bardzo ładna! Ja dla siebie czytam ją w ten sposób, że zaczynam od ostatniego wiersza, który wstawiam na miejsce kropek, zaczynających utwór, zaś na końcu powtarzam pierwszy wiersz w jego spojonej przezemnie całości, a więc:

„W leszczynie słowik dzwonił... Nie wiem jak się stało,
Gdy stanęło w otwartych drzwiach niebieskie rano."
I t. d.

A kończę powtórzeniem:

„W leszczynie słowik dzwonił... Nie wiem, jak się stało".

To mi dyktuje moje poczucie formy i budowy. Przysunąłem jedną półbryłę do drugiej półbryły, a powtórzywszy ją całą na końcu, zamknąłem utwór, jak wrota świątyni, dwoma pylonami całkowitemi, patrząc zarazem ze zgrozą na autora, który tak piękny złom granitu przerąbał sobie na dwie połówki!.. Ale nie pokłócimy się o to z poetą! On sobie, ja sobie. Nie ruszyłem mu ani słowa, a mam prawo zacząć czytanie, gdzie mi się podoba i powtórzyć, co mi się podoba...

W ogólnym wniosku zbiór poetycki p. t. „Harfa Eola" jest w literaturze polskiej zjawiskiem dawno upragnionem, objawieniem czystej duszy pokolenia współczesnego, zarzuconego śmieciami cynizmu i hałasem reklamy ulicznej. Przemówiła tu nieśmiertelna tradycja poezji, jako górnego ciągu dusz, przemówiła tradycja polska, przemówił człowiek lepszej, wyższej rasy. A tylko takich ludzi obdarza historja przywilejem przedstawicielstwa danego pokolenia.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

Z HORACEGO

QUO, QUO, SCELESTI, RUITIS?

(EPOD VII)

Dokąd gnacie, zbrodniarze, dokąd? Czemu w dłoniach
Ściskacie skrytych mieczów rękojeści?
Mało-ż się krwi wylało naszej — o boleści! —
Na wszystkich lądach i na morskich toniach,

Nie po to, aby, łamiąc Kartaginy butę,
Rzymianin z dymem puszczał jej warownie,
Lub ażeby Brytańczyk, niezłomny hartownie,
Szedł Świętą Drogą*), dłonie mając skute, —

Lecz żeby miasto nasze (wrogów iszcząc modły)
Własną swą dłonią ugodzone, padło?
Nigdy walk takich wilki ani lwy nie wiodły, —
Na obcych szczerząc paszczękę zajadłą!..

Ślepi! czyż was unosi szał czy moce wraże
Czy wina? Jakąż dacie mi odpowiedź?
Milczą — —jak nie oniemieć? wstydem nie osowieć?—
A trupia bladość powlekła im twarze...

Zaprawdę! Rzymian losy ścigają posępne
I bratobójstwa ohydna zakała.
Odkąd krew niewinnego Rema się polała,
Klątwę na wieki rzucając następne...

Przełożył JÓZEF BIRKENMAJER

---

*) *Via Sacra* w Rzymie, gdzie prowadzono brańców podczas triumfu.

NA WIDOWNI

Śmierć lwowianki śp. Maryli Wolskiej. — Poezja domu kulturalnego i służby narodowej. — Daremna ofiara matki. — Między dniami dawnemi a nowemi.—Na dwu brzegach romantyzmu. — Z popiołów — z dzbankiem malin. — Tajemnica młodości. — Niedosyt życia i uległość prawu życia. — Witraż w świątyni narodowej.

CZYŻ mogłem kiedy pomyśleć, że będę pisał nekrolog Maryli Wolskiej? Miałem ją zawsze w oczach taką, jaką poznałem w r. 1902 — młodą kobietę w kolorach, z przepięknemi oczami.

Nieśmiała wobec obcych, jakby im niechętną była, raczej niepewna, czy ci nowi warci, żeby ich poznawać, odgradzała się od nowego świata chłodem i małomównością. Należała do tych udzielnych dusz, które mają swój świat własny. Pierwsze miejsce w tym świecie zajmował dom rodzinny, którego tradycje układały się same w poezję—i to była jawa Maryli Młodnickiej, a poźniej Wolskiej, poetki i artystki z wychowania. Życie realne było jak sen, pod koniec nieraz bardzo ciężki.

Wychowana była w domu artystów, który był przedewszystkiem muzeum pamiątek po Grottgerze, w atmosferze romantyzmu, który we Lwowie długo się trzymał w jej środowisku, biorącem ton od Ujejskiego i weteranów powstania 1863 r. Ojciec był malarzem, matka słynna w młodości z urody, narzeczona Grottgera, Wanda Monné, była kobietą niepospolitego umysłu i charakteru. Wybitna indywidualność życiowa matki pozwalała córce zażywać w jej cieniu długich lat spokojnego życia, oddanego sztukom, literaturze i hodowaniu kilkorga pięknych dzieci. Stał przy niej mąż, bardzo ją kochający, szlachetny człowiek, Wacław Wolski, który nazewnątrz borykał się nieraz ciężko z falą życia, ale w domu był promienny i dostosowany do artystycznego i idealistycznego wnętrza. Do tego stopnia, że sam wolne od zajęć w przemyśle naftowym chwile obracał na rozmyślania i prace nad psychologją piękna i sztuki.*)

Potrafiła też rodzina ta urządzić sobie gniazdo, jak z bajki, w t. zw. „Zaświeciu“ pod wzgórzem Cytadeli dawnej w ogrodzie z wejściem od ul. Kalecza. Była to willa piętrowa w środku miasta, lecz odosobniona i zaciszna. Tam pod okiem babki wychowały się znane dziś w świecie sztuki Aniela, utalentowana malarka, obecnie Michałowa Pawlikowska i Beata, niepospolita poetka, obecnie Obertyńska. Tam wychowali się synowie, z których młodszy Kazimierz, bohaterski ułan VIII p., gospodaruje na roli, najstarszy zaś Luk (Lucjan) poległ śmiercią męczeńską, rozstrzelany przez hajdamaków w r. 1919 pod Złoczowem.

Tu się załamało życie tego domu. W r. 1922 umarł ojciec Wacław Wolski, w r. 1923 — zmarła babka Wanda Młodnicka. Syn, umierając polecił, aby powiedziano rodzicom, że umiera za Polskę. Zredukowanie ogniska w ciągu kilku lat było tak wielkie, że przekroczyło miarę żywotności kobiety. Wyraziło się to i w jej poezjach, do których wkroczyło widmo śmierci. Patrjotyczne serce matki krzepiło się myślą, że jednak śmierć syna potrzebna była Polsce. Od r. 1926 dramat w jej biednem sercu rósł, gdy widziała, że ta Polska, reprezentowana w dzisiejszym rządzie, nie docenia ofiary synów. Zmęczone nerwy dawały zły obrót chorobie żółciowej, powtarzającej się w atakach cierpień. Teraz po przeczytaniu w dziennikach wiadomości o ugodzie tak haniebnej, zawartej przez rząd z ukraińcami, będącemi przecież narzedziem w ręku polityki niemieckiej, rozpacz wstrząsnęła jej organizmem. Śmierć Luka wydała jej się daremną! Złamana moralnie, na dwa dni przed śmiercią udała się do swego spowiednika i wyznała mu, że pragnie przygotować się do śmierci. W ataku, który potem nastąpił, serce nie przetrzymało 24 godzin cierpienia.

Matka-Polka, biorąca dosłownie to, co od słowa „niepodległość“ brzmiało w jej duszy od dzieciństwa, wierząca w patrjotyzm i uczciwość rodaków, nie mogła żyć dłużej w tej atmosferze.

Zmarła 25 czerwca w Zaświeciu o godz. 10 m. 45 rano.

Na biurku zmarłej znaleziono adresowany do naszej redakcji list, w którym poetka, poruszona do głębi obchodem ku czci Kochanowskiego, zwraca uwagę na czterowiersz Kazimierza Brodzińskiego, świadczący, jak blisko było w zaraniu romantyzmu do poety z Czarnolasu. Wiersz ten, przepisany ręką Wolskiej, brzmi:

Mnie, Janie z Czarnolasu, ty ująłeś duszę!
Tyś mi, jako do cichej przyjaźni stworzony,
Niepokaźny, stąd mało od świata ceniony;
Nikt też nie wie, co w tobie czyta serce moje.
I ja. z tobą przestając, o wielkość nie stoję.

Mnie znowu, gdy czytam ostatni tom poezji zmarłej pt. „Dzbanek malin“, narzuca się porównanie z romantykami, którzy schodzili w *inferna* niewoli z pieśnią; Maryla Wolska odpowiada im charakterem niby druga część klamry na drugim krańcu pasma dziejów poezji polskiej porozbiorowej. Na przełomie stulecia XIX, w które tamci wchodzili, jak w podziemia, z wiarą w niezmożoną moc ducha, wyszła w zorzę wieku XX ich spadkobierczyni — świeża i zdrowa, z wieńcem na warkoczach i z dzbankiem malin. Jest ta jej książka symbolem młodości duszy polskiej. Nie popiół wyniosła stamtąd, lecz maliny, a tajemnicą tej wiecznej młodości jest zespolenie z życiem narodowem.

Dusza moja nazawsze zostanie dziewczyną,
Co w las poszła o świcie z dzbankiem na jagody,
Krasą śmiała i ufna, że choć lata miną,
Ona przetrwa w urodzie lic swych wiecznie młodych.

Dusza moja w zielonym na warkoczach wianku,
Ścieżką idzie samotną, wolną, jak ptak w lesie...

Sama zawsze młoda i piękna, szukała piękna i młodości. Wszystkie jej dawne poezje od r. 1901, wierszem czy prozą śledzą młodość w jej wdzięku. Czy sięga myślą w mitologję prasłowiańską, czy studjuje świat dziewczęcy w przepięknych nowelach, wszędzie wzrusza ją uroda garnącej się do życia młodości. Chronologicznie dzieła Wolskiej następują w takim porządku: Symfonje jesienne 1901, *Théme varié* 1901, Święto słońca 1903, Z ogni kupalnych 1904, Swanta, baśń o prawdzie 1907, Dziewczęta (nowele) 1910, dzieło dwutomowe z archiwum rodzinnego „Arthur i Wanda“ 1927, Dzbanek malin 1930.

Pisała niewiele, ale zawsze wytwornie i odpowiedzialnie. Chcę powiedzieć przez to, że nie zawierzała się patosowi duszy, jak to czynią zwykle

*) Bardzo interesującą rozprawę ogłosił pod pseudonimem Jana Snowicza w „Lamusie“ z r. 1912 o rodowodzie Sztuki.

kobiety, przenikała bystro każdą rzecz kryterjami rozumu. Bystrość umysłu i nadzwyczajna precyzja słowa czyniły z Wolskiej doskonałą publicystkę, zwłaszcza w polemice [2]). Intektualizm francuski po matce służył jej dobrze w literaturze, a w rozmowie i listach wyrażał się w lotnym dowcipie. Przytoczę dla przykładu parę strof z poezji lat ostatnich „Krople goryczy“:

Godnie zakończył duch, wódz zmordowany,
Serdeczne boje —
Lecz jakże dziwnie podobne przegranej
Zwycięstwo moje...

Mądrość kupujem ceną młodości,
Śmiercią płacimy za dar żywota,
Póty się myśl w nas gmatwa i mota,
Póki jej nagle śmierć nie uprości!

Górnemi się żyło radośćmi,
Dziś jednej pociechy dość mi,
Że z pięciu klepek, w których się męczę,
Oblecą kiedyś obręcze.

I cóż, że śnieg twój, miłosierna zimo,
Ciszą śmiertelną na ogród mój padł?
Stóp na nim widzę jeszcze głębszy ślad,
Co wedle drzwi mych znowu przeszły mimo.

Nie pora prawdzie w oczy dziś przeczyć!
Choć po mnie głusza jednakać,
Nieraz ci, świecie, będę złorzeczyć,
Sto razy za tobą płakać...

Chciałoby się wszystko przepisać: mamy tu razem i mistrzostwo formy, głębokość liryczną i mądrość Kochanowskiego. Doskonałe zespolenie dobrego smaku, będącego owocem wysokiej kultury artystycznej, z rasowością poetycką, która każdą myśl zmusi, żeby okupiła się plastyce konkretnym obrazem, a każde uczucie podda rygorowi myśli. Widzenie swoje potrafiła uplastycznić nawet po rzeźbiarsku, aby widzieć postać śnioną. Książkę swoją „Z ogni kupalnych“ ozdobiła zdjęciami z posążków, które sama modelowała; były to wizerunki Radegasta, Morany, Lela i Trygława.

Zasadniczą potrzebą poetycką Maryli Wolskiej było piękno dawności. Zlewało się ono z pięknem przyrody, która też jest dawnością, zawsze na nowo przeżywaną. Dobra rasa ma to do siebie, że sama nie pomni, gdzie się jej dawność poczęła, czy w przeżyciu osobistem, czy w dziedzicznem. Wolska, urodzona w r. 1873, pamięta swoje wrażenia z r. 1876, kiedy na pogrzebie Goszczyńskiego ktoś ją uniósł nad katafalk, aby zobaczyła oblicze poety. Mamy tego dowód w prześlicznym wierszu „Poznanie“, drukowanym niedawno w „Myśli Narodowej“.

Tradycje przytłaczały ją; życie jej zeszło jak służce w witrażowym „dni dawnych“ kościele:

Z dni dawnych same groby,
Dni nowych nie doczekam...
A kładka między niemi,
Po której iść się boję —
To „dziś“, co się obcemi
Oczyma patrzy w moje.

Z wiekiem budził się w niej czasami żal, że za mało zaznała życia indywidualnie. Radość życia potęgował niedosyt i zwiększał cierpienia, gdy zamiast upragnionej wody z potoka, której nigdy do woli nie piła, życie częstowało ją gory-

²) Artykuły swoje publicystyczne (dawniej w „Słowie Polskiem“, po wojnie w „Gazecie Warszawskiej“) podpisywała pseudonimem: Tomasz Haróg, lub literami T. R. Poezje podpisywała dawniej D-mol, nowele: Iwo Płomieńczyk.

czą. To też z krzyża swojego lat ostatnich wetschnęła do słońca:

A gdy Morana zielem snu mnie zmorzy,
Stań ty mi wówczas, o słońce, za świadka,
Jakom ci wierna była do ostatka —
I źródłom leśnym i echom bezdroży!

A gdy w odlocie krańce piór rozwinę
I głąb się oczom mym rozewrze do dna,
Wstydem się spłomień, życie, że mrę głodna,
Nienasycona schodzę w mrok — i minę...

Poetka, nad której mogiłą stoimy, była czemś więcej niż artystką słowa; była ona artystką, modelującą ducha, który słowu daje kwitnąć. Zespolona z życiem, bo to leżało w stylu jej dobrej rasy, była artystką, która rękę przykłada do budowy szczytów duchowych narodu. Z ofiarą własną, wbrew świadomości, że ją spotyka krzywda osobista, staje w witrażu naszej romańskiej świątyni z kornie złożonemi skrzydłami:

Otom prawdą struta i oślepła jawą,
Otom, jak źródło leśne, kamieniem zmącona.
Życia sąd mnie zapozwał i dosięgło prawo:
Na nic opór i własna własnych spraw obrona!

ZYGMUNT WASILEWSKI

KONGRES EUCHARYSTYCZNY W POZNANIU

PIERWSZY Krajowy Kongres Eucharystyczny w Polsce, jaki w dniach 26—29 czerwca r. b, obradował w Poznaniu, stał się w naszem życiu narodowem faktem o doniosłem znaczeniu. Dla wszystkich uczestników Kongresu, dla wszystkich wogóle wierzących katolików w Polsce, dni to były rzeczywistem podniesieniem ducha, a jednocześnie sposobnością potężnego, zbiorowego zamanifestowania swych religijnych uczuć.

Ale nawet z doczesnego czysto stanowiska rozpatrywany, Kongres Eucharystyczny niewątpliwie był zdarzeniem ważnem i nader znamiennem. Nie chodzi tu oczywiście zupełnie o niesmaczne próby prasy „sanacyjnej", usiłując wyzykazać pewne fakty dla doraźnych całkiem, chwilowemi względami politycznemi podyktowanych „rozgrywek“. Takie „taktyczne posunięcia“ w niczem zresztą bankrutującej „sanacji“ nie dopomogą ani jej istnienia nie przedłużą.

Ci natomiast, którzy w religji katolickiej widzą podstawę całej polskiej cywilizacji, i na tym tylko niewzruszonym fundamencie pragną wielkość Polski budować, radość i pokrzepienie czerpać muszą z tego wzmagania się i pogłębiania wiary katolickiej w narodzie polskim, czego Kongres Eucharystyczny był tak wymownem i wspaniałem świadectwem.

Dwa przedewszystkiem charakterystyczne fakty z przebiegu Kongresu zasługują na szczególne uwydatnienie. Jednym jest wybitny udział przedstawicieli nauki, i to udział nietylko manifestacyjny, na uroczystem otwarciu Kongresu, lecz przedewszystkiem w realnych pracach sekcyj nad pogłębieniem myśli katolickiej i usprawnieniem organizacji katolickiej w Polsce. Prace sekcji inteligencji pod przewodnictwem rektora uniw. poznańskiego, prof. dr. Stanisława Kasznicy, sekcji emigracyjnej pod przewodnictwem prof. dr. Bronisława Dembińskiego, znakomity referat prof. dr. Antoniego Jurasza na sekcji charytatywnej — to

tylko przykłady, jedne z wielu, żywotności katolicyzmu w środowiskach uniwersyteckich i wogóle naukowych. Książka zbiorowa *„Confiteor“*, wydana z okazji Kongresu, jest dowodem, że wielu z pośród najwybitniejszych pisarzy Polski współczesnej nie zawahało się stanąć publicznie pod znakiem Krzyża.

Drugą cechą znamienną Kongresu był nad podziw liczny udział przedstawicieli młodego pokolenia. Nadawało to całemu Kongresowi wyraz swoisty, krzepiący i radosny. Miecze Chrobrego, krzyże harcerskie, odznaki sodalicyjne i korporanckie widoczne były wszędzie: odczuwało się wyraźnie, iż kończy się już długi okres potulności, zahukania, kompromisów, że w życie Polski katolickiej wchodzi nowa generacja, wiedząca do czego dąży, niedyplomatyzująca, zdecydowana.

R.

JESZCZE O ZJEŹDZIE POLONISTÓW

KTO w numerze 25 „Myśli Narodowej“ przeczytał artykuł p. Suchodolskiego o Zjeździe Polonistów, choćby nie znał jego przebiegu, musiał zadać sobie pytanie: czem są te uwagi: sprawozdaniem czy satyrą? Biorąc rzecz ściśle formalnie, wystarczy wskazać na epilog artykułu, zdradzający wybitnie satyryczną tendencję całości. Autor tworzy tu obraz, oparty na kontraście między ideałem—którego zapewne żaden jeszcze zjazd w pełni nie zrealizował — a wyrwanemi z zespołu uchwał wnioskami, które, w odosobnienie wzięte, mogą świadczyć o snobizmie głosujących. Wnioski wymienione w artykule, dotyczą... „zwiększenia godzin polonistyki i zmniejszenia godzin etatów polonistów“.

A przecież Zjazd uchwalił długi szereg postanowień i przyjął ważne zobowiązania na przyszłość. Jedne uchwały dotyczyły przyszłych publikacyj szkolnych: słowników, encyklopedji dla użytku młodzieży, wydawnictw tekstów literackich, inne zwracały się przeciw współczesnym tendencjom literackim, rozbijającym strukturę zdaniową na korzyść dosadnego słowa, inne wreszcie podnosiły konieczność oddziaływania pedagogów na repertuar teatralny, wskazywały na drogę rozwojową sceny szkolnej. Wiele gruntownych uwag poświęcono właściwościom psychicznym młodzieży różnego wieku. Poważnie i wszechstronnie omówiono technikę nauczania.

Przechylono się ku syntetycznemu ujmowaniu dzieł literackich, zastrzegając się przeciw zbyt drobiazgowej analizie.

Istniała na Zjeździe pewna powściągliwość w operowaniu kompleksami zagadnień, związanych z programem i metodą przedmiotu. Nie gorszyło to nikogo z uczestników I Zjazdu Polonistów, który wiele czasu poświęcił tematom, wysuwanym przez p. Suchodolskiego („heureza czy wykład; analiza czy synteza; przeżywanie czy badanie“), a tak mizerne wyniósł z tej dyskusji korzyści!

Na kryzys naszego szkolnictwa możemy patrzeć rozmaicie i różne z faktu tego wyciągać wnioski, niekoniecznie widząc w tem zobowiązanie do jaknajszybszego stworzenia nowego programu, niekoniecznie sądząc, że pora nadeszła, że wszystko gotowe i tylko wadliwa organizacja Zjazdu nie ujawniła tej gotowości.

Kto pamięta inne, liczniejsze zebrania—choćby niedawne debaty nad sprawą szkolnictwa żeńskiego w Polsce — ten skłonny jest sądzić, że żyjemy raczej w okresie silnego fermentu myśli pedagogicznej, szukania wyjścia z tego, co się przeżyło, niż w fazie konsolidowania się odmiennego systemu.

Dojrzewania nowego programu nie da się sztucznie przyśpieszyć. Zjazdy zaś, to nie pracownie naukowe. Ich celem — pobudzenie myśli, rzucenie haseł, wytworzenie atmosfery. Jeśli drugi z kolei zjazd polonistów skromniejsze sobie zakreślił cele, niż pierwszy, to widzieć w tem należy znak czasu, a ostrożności tej nie godzi się chyba potępiać.

Wobec rozumianej przez nauczycieli potrzeby pogłębiania doświadczeń psychologicznych i pedagogicznych na terenie szkoły, wobec niezadowolenia z ostatnio stosowanych tu i ówdzie prób metodycznych, sprawa stworzenia nowego systemu zdaje się usuwać w dalszą nieco przyszłość. O tem świadczył również przebieg Zjazdu w Krakowie.

Z. SZMYDTOWA

WYCHOWANIE NARODOWE

CHRZEŚCIJAŃSKO - NARODOWE NAUCZYCIELSTWO

W TYCH dniach odbywa się w Krakowie doroczny zjazd Stowarzyszenia Chrześcijańsko-Narodowego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych. W czasach, gdy radykalizm lewicowy i płytka demagogja, gdy wpływy masońskie i ateistyczne ze szczególną natarczywością uderzają w szeregi naszego nauczycielstwa, niezwykle radosnem zjawiskiem jest sam fakt istnienia organizacji nauczycielskiej, która ma odwagę na sztandarze swoim wypisać hasła chrześcijańskie i narodowe.

Jest to zjawisko tem radośniejsze, że Chrześcijańsko-Narodowe Stowarzyszenie jest dziś już w szeregach nauczycielskich potęgą nielada: przeszło 10.000 zorganizowanych nauczycieli, dwutygodnik „Nauczyciel Polski“, miesięcznik „Szkoła“ (41 lat istnienia), doskonale redagowany „Kwartalnik Pedagogiczny“, organy okręgowe, jak „Szkoła Śląska“ i „Nauczyciel Pomorski" oto dorobek organizacyjny i kulturalny Stowarzyszenia. Ponadto kilka własnych seminarjów nauczycielskich, sanatorjum „Modrzejów" w Zakopanem, willa w Szczawnicy i szereg drobniejszych letnisk, kursy wakacyjne, działalność oświatowa pozaszkolna, obrona prawna członków, własna księgarnia we Lwowie, oto dalsze fragmenty obfitej działalności Stowarzyszenia. W najkulturalniejszych, najmocniejszych narodowo województwach zachodnich stowarzyszenie grupuje większość ogółu nauczycielstwa, w innych województwach walczy coraz skuteczniej z wszechpotężnym do niedawna, radykalnym Związkiem Nauczycielskim, energicznie popieranym przez sfery rządzące.

Jakkolwiek Stowarzyszenie grupuje żywioły nauczycielskie spokojne, lojalne, dodatnie wychowawczo i państwowo twórcze, to jednak ze szczególną konsekwencją ignorowane jest, a często i zwalczane przez władze szkolne. Typowym objawem

tego stanowiska było zachowanie się ministra oświaty w r. 1929, gdy w Poznaniu odbywały się równocześnie dwa zjazdy nauczycielskie: Chrześcijańskiego Stowarzyszenia i radykalnego Związku. Minister wziął udział w zjeździe Związku i wygłosił tam nawet referat, natomiast ostentacyjnie nie pojawił się na zjeździe Stowarzyszenia i nie wysłał tam nawet żadnego delegata. W okręgach szkolnych: lwowskim, lubelskim i wileńskim Stowarzyszenie jest z brutalną, partyjną zaciekłością, otwarcie lub skrycie zwalczane przez władze szkolne, a w całem szkolnictwie państwowem panuje cicha tendencja, by przy wszelkich „lepszych“ nominacjach pomijać członków Stowarzyszenia na korzyść „związkowców“. Oficjalna oświata pozaszkolna została niejako wydzierżawiona Związkowi. Obfite subwencje państwowe, spływające na Związek w różnej postaci, omijają Stowarzyszenie, które zdane jest wyłącznie na własne siły. Ostatnio nawet w sferach sanacyjnych można zauważyć objawy niezadowolenia z powodu tego popierania radykalizmu nauczycielskiego przez sfery rządowe.

Wszelako ta właśnie jednostronność i partyjna zaciekłość sfer rządowych stała się czynnikiem, sprzyjającym rozwojowi Stowarzyszenia. Wzrost liczby członków niezbyt szybki, ale stały i równomierny, nie jest tu jedyną miarą rozwoju. Ktokolwiek obserwuje zbliska życie Stowarzyszenia, tego uderza przedewszystkiem jego szybkie podnoszenie się j a k o ś c i o w e, wzrost solidarności i zwartości wewnętrznej i coraz wyraźniejsze oblicze ideowe.

Charakterystyczna jest naprzykład w ostatnim roku żywa praca w dwóch sekcjach: pedagogicznej i oświaty pozaszkolnej. Gdy sekcja oświaty pozaszkolnej nawiązała ścisłą łączność z narodowemi organizacjami oświatowemi, sekcja pedagogiczna podjęła próbę naukowego przedyskutowania problemu wychowania narodowego. W toku poważnej konferencji pedagogicznej, przy udziale prof. Bohdana Nawroczyńskiego, wyłoniła się żywotna potrzeba badań naukowych w zakresie cech polskiego charakteru narodowego: zagadnienie to ma się stać ważnym programem pracy „Kwartalnika Pedagogicznego“ w roku najbliższym. Z drugiej strony zagadnienie wychowania narodowego stało się przedmiotem szeregu referatów i dyskusyj na zjazdach okręgowych Stowarzyszenia. Dyskusja wszczęta w swoim czasie przez ministra oświaty w jego nieostrożnych odczytach: poznańskim i wileńskim, potoczyła się wśród nauczycielstwa narodowego w kierunku, jakiego zapewne minister nie przewidywał, stała się doskonałą podstawą do uświadomienia nauczycielstwu wytycznych wychowania narodowego i ważnej roli nauczycielstwa w tej dziedzinie.

Różnica między stanowiskiem nauczycielstwa zgrupowanego w Stowarzyszeniu, a oficjalnym kierunkiem Związku, zarysowała się tu niezwykle jaskrawo. Konkretne niebezpieczeństwa współczesnych prądów międzynarodowych w szkolnictwie, potrzeba wytworzenia samodzielnej, tęgiej kultury narodowej przez szkołę, doniosłe znaczenie wychowania religijnego, rola nauczycielstwa kresowego wobec prądów ugody z Niemcami na zachodzie, a federalizmu na wschodzie — wszystko to było gruntownie dyskutowane na zjazdach Stowarzyszenia.

Ta konsolidacja ideowa chrześcijańskiego i narodowego odłamu nauczycielstwa jest objawem doniosłym i bardzo pocieszającym. Społeczeństwo zbyt mało wie o Stowarzyszeniu i zbyt pochopnie utożsamia nastroje ogółu nauczycielstwa z tem, co słyszymy w enuncjacjach przywódców Związku. Czas uświadomić sobie, że poważny odłam nauczycielstwa toczy walkę z tendencjami Związku, czas zrozumieć, że właśnie Stowarzyszenie jest organizacją przyszłości, czas tę przyszłość przybliżać przez żywą współpracę, przedewszystkiem młodej inteligencji polskiej ze Stowarzyszeniem.

W. JAWORSKI

NAUKA I LITERATURA

O BIBLJOTEKACH W WIELKOPOLSCE I NA POMORZU

NA uryczystość czwartego zjazdu bibljofilów i drugiego zjazdu bibljotekarzy polskich w Poznaniu, a w związku ze stuletnim jubileuszem Bibljoteki Raczyńskich i setną rocznicą założenia Bibljoteki Kórnickiej, komitet organizacyjny zjazdu wydał pod redakcją S t e f a n a W i e r c z y ń s k i e g o księgę pamiątkową p.t. „Bibljoteki Wielkopolskie i Pomorskie“. Księga to monumentalna swą treścią jako zbiór prac naukowych, a również i pod względem zewnętrznym wydana *in quarto*, ma 350 stron, z ilustracjami budynków bibljotek, kart tytułowych i minjatur ksiąg z minionych stuleci, białych kruków drukarstwa.

Rozpoczyna księgę studjum Ks. Edmunda Majkowskiego o Bibljotece Archidjecezjalnej Poznańskiej, która stworzyła kilka księgozbiorów duchownych, jak bibljoteka „Kościoła poznańskiego“, bibljoteki parafjalne i dekanalne. Zawiera ona kilkadziesiąt rękopisów średniowiecznych, setki rękopisów nowszych, inkunabułów, druków polskich XVI wieku, czasopism, muzykaljów, rysunków, rycin, numizmatów i około osiemdziesięciu tysięcy druków.

O Bibljotece Radzieckiej w Poznaniu pisze p. Zygmunt Zaleski. Z bibljoteki tej w czasie wojen w siedemnastem i osiemnastem stuleciu ocalała stosunkowo niewielka ilość tarożytnych druków medycznych, filozoficznych i prawniszych, a miarą ich wartości są łacińskie druki weneckie ci ljońskie, artystycznie zdobione. Mieści się w ratuszu poznańskim.

Bibljoteka Raczyńskich, o której pisze p. Andrzej Wojtkowski, to instytucja o kierunku wybitnie narodowym. Fundator Ed. hr. Raczyński chciał „szerzyć wiedzę o rzeczach narodowych, znajomość historji i literatury polskiej i języka. Stworzyć skarbnicę wspomnień historycznych, zabytków języka narodowego i literatury“. W tym celu wyszukiwał i zakupywał książki, nie licząc się z trudem i kosztami, a gdy rząd pruski kasował klasztory, nabył Raczyński szereg bibljotek klasztornych. Stale też dokupywał bibljoteki prywatne, między innemi księgozbiór Niemcewicza.

O Bibljotece Tow. Przyjaciół Nauk pisze p. Ludwika Dobrzyńska-Rybicka. W chronologicznym porządku daje przegląd dziejów bibljoteki i życiorysy jej pracowników, ofiarnych miłośników nauki. Znaczenie tej bibljoteki oceniło całe społeczeństwo polskie. Sypały się dary od rodaków z zagranicy, z Ameryki. Przedmiotem badań, na wiele lat w przyszłości, będą nagromadzone tam dyplomy, kodeksy, akty prawne, autografy, skrypta. Wśród nich rękopis Moniuszki opery „Halka“, w pierwotnej swej redakcji, w dwóch aktach.

O Bibljotece Archiwów Państwowych od r. 1869—1929 pisze p. Feliks Pohorecki. Inna tej bibljoteki fizjognomja i organizacja. Posiada dwa katalogi rzeczowe, ogólny i szczegółowy, oraz katalog kartkowy. Działy: — archiwistyka, ko-

-deksy dyplomatyczne, zbiory aktów, kroniki, wydawnictwa ksiąg miejskich, statuty średniowieczne, djarjusze sejmowe, manifesty, pamiętniki, życiorysy, bibljografje. Źródła do historji niemieckiej. Dzieła geograficzno-typograficzne. Prawo. Heraldyka, genealogja, sfragistyka i numizmatyka. Statystyka, ekonomja, socjologja. Czasopisma historyczne. Słowniki. Encyklopedje.

Zarys Bibljoteki Uniwersyteckiej opracował p. Stefan Vrtel-Wierczyński w obrazowym skrócie. Jedna z ostój niemieckości, była, od czasu odzyskania niepodległości, uposażana dorobkiem nauki polskiej, w znacznej części daram Krakowskiej Akademji Umiejętności i polskich instytucyj naukowych, agencji lozańskiej i t. d. Pamiętną sercu, podobnie jak dla spalonej przez Niemców bibljoteki w Lowanium w Belgji, była tu pomoc obcych, w darach rządu francuskiego, akademji paryskiej, dyrekcji archiwów narodowych w Paryżu, muzeum narodowego w Pradze, poselstw zagranicznych w Warszawie, belgijskiego, węgierskiego, łotewskiego i czechosłowackiego, towarzystwa hiszpańskiego w Nowym Jorku, rządu czechosłowackiego i akademji czeskiej, uniwersytetów w Bratysławie, Dorpacie, Liége, Pradze, Wrocławiu i Tokio. Zarząd bibljoteki organizuje wzorowe kursy i czytelnie w związku z pracami uniwersytetu.

Inny znów charakter posiada Bibljoteka Muzeum Wielkopolskiego, składająca się z dzieł z zakresu historji sztuki, kultury i muzeologji. Pisze o tem p. Zofja Kutznerówna bibljotekarka, omawiająca grupy katologowe, — architektura, rzeźba, malarstwo, grafika, przemysł artystyczny, technologja, typografja, kultura, numizmatyka, dział czasopism i reprodukcyj.

Dalej p. Stanisław Wacławik opisuje Bibljotekę Wojskową D.O.K. VII, p. Bronisław Olszewicz Bibljotekę Wyższej Szkoły Handlowej i p. Stefan Truchim Bibljotekę Pedagogiczną Kuratorjum Szkolnego w Poznaniu. Pozatem opis trzech bibljotek gimnazjalnych.

Po tych następują opisy wielkopolskich bibljotek prowincjonalnych. Nie mniej od tamtych bogate są w cenne księgi. W pierwszym rzędzie starożytna Bibljoteka Kapitulna w Gnieźnie, o której z umiłowaniem pisze ks. Leon Formanowicz, i starożytna Bibljoteka Klasztoru Benedyktynów w Lubiniu, o której szczegółowo i pięknie pisze O. J. Ostrowski. Dalej słynna i wspaniała, założona przez Adama Tytusa Działyńskiego Bibljoteka Kórnicka. Fachowem i znawczem piórem podaje p. Stanisław Bodniak wzniosłą historję jej założenia i jej cenną zawartość. P. Witold Bełza daje opis Bibljoteki Miejskiej w Bydgoszczy. Zaczem następują opisy licznych prywatnych bibljotek w Poznaniu i obfitych, liczących po kilka tysięcy tomów, bibljotek w domach zamożnych ziemian.

Z bibljotek na Pomorzu najwybitniejsze znaczenie naukowe posiada Książnica Miejska im. Kopernika w Toruniu w opracowaniu p. Zygmunta Mocarskiego i druga, w tej książce w opracowaniu Ks. Tadeusza Glemmy, Bibljoteka Biskupstwa Chełmińskiego w Pelplinie. Wreszcie, podobnie jak w pierwszej części księgi, opisy bibljotek gimnazjalnych. A w trzeciej części księgi opisy ruchliwych bibljotek oświatowych.

Taki jest plon zamierzeń i prac oświatowych na obszarze Wielkopolski i Pomorza, umiejętnie w tej książce zestawiony, przykład i wzór godny naśladowania.

ANTONI WYSOCKI

RUCH WYDAWNICZY

Dzieł Jana Kasprowicza wyszło już tomów 16. Zasługuje na uznanie akuratność wydawnictwa i staranność. Brak jeszcze tylko dwu tomów poezyj i dwóch tomów prozy. I te wkrótce się ukażą. Tyle zapowiadał prospekt, określający całość w 20 tomach za 40 zł.

Tymczasem prac okazało się tyle, że wydawca zmuszony jest dodać jeszcze dwa tomy, rozsyła więc nowy prospekt na 2 tomy z dopłatą 4 zł. Będziemy tedy mieli na reszcie zebrane prace Kasprowicza — wiadomość bardzo miła. Trzeba zaś dodać, że całe wydanie jest bardzo poprawne i wyczerpujące, a do tego nader tanie.

Bardzo to pocieszające, że wydawnictwu widocznie dobrze się powodzi, skoro przystępuje do wydania przekładów Kasprowicza. Do serji pierwszej wejdą Sofokles i Eurypides (w 15 tomach) i poeci angielscy (w 5 tom.) Razem za 20 t. przedpłata 40 zł. Razem więc można mieć Kasprowicza 42 tomy za 84 zł.

Adres wydawnictwa dzieł J. Kasprowicza: Kraków, Garbarska 16, Konto czekowe nr. 410.057.

*

Wyszła książka prof. Ludwika Kolankowskiego „Dzieje Wielkiego Księstwa Litewskiego za Jagiellonów od r. 1377 — 1499". T. I. (Lwów 1930. Skład główny w księgarni im. Mianowskiego). Autor poświęcił pracę w hołdzie Uniwersytetowi w Wilnie, w 350-tą rocznicę założenia, a w 10-tą rocznicę wznowienia. Rozmiary książki (str. 474 w 4-ce), tudzież widocznego już na pierwszy rzut oka źródłowość w traktowaniu przedmiotu i wniosków tego obszernego studjum, zapowiada całość jako dzieło monumentalne. Motywem pracy jest związek W. Ks. Litewskiego z Polską, który to związek Litwic, zagrożonej w swym państwowym bycie przez Krzyżaków, Moskwę i Tatarów, zapewnił możność rozwoju. Mimo różnych zasad tych dwóch państw, elekcyjnego i dziedzicznego, pod berłem Władysława Jagiełły i zgodnego obu narodów współżycia, okazała się po dwóch wiekach konieczność połączenia się w jednolite, oparte o parlamentaryzm, państwo, w jeden organizm administracyjny i wojskowy, ku wspólnej obronie, rozwojowi i chwale. W pełni ukazanem to ma być w dalszym ciągu dzieła. Obecnie wydany pierwszy tom przedstawia początek organizacji Litwy, jej dzielnicowość, zatargi rodowe książąt, władztwo Jagiełły, a następnie wiekopomne momenty dziejowe, po złagodzeniu z czasem wewnętrznych konfliktów plemiennych i prawnych, Grunwald, unja w Horodle, i wspólnie, bez przerwy prowadzone walki z drapieżnymi, wrogimi wolności Polski i Litwy, sąsiadami. W pobieżnej, szkicowej notatce można jedynie zaznaczyć, że książka L. Kolankowskiego „Dzieje W. Ks. Litewskiego za Jagiellonów" tom I jest imponujący rozmiarami mozajką wiadomości, zdobytych badawczą pracą wielu lat, a ujętych, w jasno i mocno zarysowane kontury.

*

W starannie wydawanym, ilustrowanym miesięczniku „Morze", organie Ligi Morskiej i Rzecznej (Nr. 6) na uwagę zasługuje między wielu innemi artykuł „Armja morska jako gwarantka bezpieczeństwa Polski", — napisany przez komandora W. Kosianowskiego. W dziale „Pionier Kolonjalny" pisze dr. W. Rosiński o pracach Związku pionierów kolonjalnych; Dr. Med. Zdzisław Szymoński, który wyjechał z pierwszą partją emigrantów polskich, jako ich lekarz, na kilkuletni pobyt do Peru, daje garść wrażeń z 1-go etapu podróży w artykule „Lądem, Morzem i Rzekami"; o „Polakach w Anatolji" — pisze Tadeusz Niwiński. Bardzo pożyteczny jest podany na końcu krótki rys turystyczny woj. Kieleckiego, przez inż. M. Walentowskiego.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Mało uwagi zwróciła na siebie książka René Benjamina: *„Clémenceau dans la retraite"*. Benjamin dzięki swej ciętości i bezkompromisowemu stanowisku w sprawie wychowania narodowego *(„Aliborons et démagogues")*, dzięki swej satyrze o Lidze Narodów *(„Augures de Genéve")* i pięknej biografji Balzac'a zdobył sobie już poczesne stanowisko we współczesnem piśmiennictwie francuskiem. Benjamin opisuje dzień spędzony u Clémenceau, zgorzkniałego, dziwacznego, wybuchowego — zarazem pogodzonego z swą osobistą sytuacją. Kwestyj politycznych nie porusza prawie wcale, tylko skoro wspomina Poincaré'go, zalewa go wprost żółć. Benjamin z żalem podnosi nienawiść „Ojca zwycięstwa" do katolicyzmu, któremu wróży rychły upadek. Większość spraw, jakie porusza Clémenceau ze swymi gośćmi, to kwestje religijne, filozoficzne: Stary Tygrys pokazuje tu wykrzywione oblicze Voltaire'a. Drugi moment, który Benjamin w swej książce porusza, to uwydatniający się na każdym kroku gorący patrjotyzm zmarłego prezydenta i żal za „zmarnowaną okazją" (czem się później zajmuje w „Blaskach i nędzach zwycięstwa") W rozmowie zaś ze swymi gośćmi unika wspomnień na temat osób, czasem wymknie mu się jakieś sarkastyczne słowo o Briand'zie, Painlevé'm, Herriot'cie. Książka Benjamina uzupełnia znakomicie pamiętniki Clémenceau przez uwydatnienie jego postaci jako człowieka, który przed czytelnikiem występuje niezwykle plastycznie.

*

Zwyczaj nagród literackch został, jak wiadomo, zaprowadzony we Włoszech zaledwie od lat paru, z inicjatywy kilku artystów, pisarzy i dziennikarzy, którzy schodzili się wieczorami w niewielkiej restauracji medjolańskiej przy ulicy Bagutta i pewnego wieczoru postanowili utworzyć nagrodę w sumie 5 tysięcy lirów za najlepszą książkę, jaka ukazała się w ciągu roku. Za tym przykładem poszli zaraz inni, jak np. *„Italia Letteraria“* a za nią różne grupy literatów i pisarzy poczęły organizować nagrody. Wielką sensację sprawiła w roku bieżącym *„Stampa“*, dziennik turyński, ogłaszając nagrodę za najlepszy utwór w roku 1930, napisany po włosku przez autora Włocha i we Włoszech wydany, przeznaczając na ten cel 50 tysięcy lirów. Żadna z ogłoszonych dotychczas nagród nie przekraczała sumy 10 tysięcy lirów, które w dodatku ani razu jeszcze nie były przyznane w całości, lecz dzielone między wyróżnionymi pisarzami. Tem większe wrażenie wywołało wysokie premjum *„Stampy“*, zwłaszcza, iż zawarunkowano, że suma nie ma być dzielona, lecz przyznana i wypłacona w całości.

Po *„Stampie“* jeszcze wspanialej wystąpiło Towarzystwo Wydawnicze dziennika *„Corriere della Sera“* w Medjolanie, przeznaczając 200 tysięcy lirów rocznie na cztery nagrody po 50 tysięcy każda, do uznania Królewskiej Akademji Włoskiej, za najlepsze prace wydane w ciągu roku z dziedziny artystycznej, literackiej, historycznej i naukowej. Nagrody mają być wypłacone co roku w dzień święta narodowo-robotniczego, t j. w dniu 21 kwietnia, poczynając od roku przyszłego i będą nosiły tytuł nagród Mussoliniego

SZTUKI PLASTYCZNE

MARNOWANIE ŚWIATŁA

UKAZAŁA się niedawno w prasie stołecznej mała wzmianka o tem, że magistrat Warszawy ma przystąpić do zmiany typu latarń elektrycznych. Mają one być zawieszane niżej, niż dotychczas, aby silniej ulice oświecały. Korzystam z tej wiadomości, żeby zasadniczo omówić sprawę, która bezpośrednio dotyczy estetyki miasta, a traktowana jest, jak dotąd, niedbale i lekkomyślnie. Obniżenie latarni ulicznych jest konieczne, chwali się ojcom miasta, że choć na to zwrócili uwagę, ale to jest tylko jeden szczegół sprawy. Przy sposobności tej reformy poszczególnej trzeba koniecznie rozstrzygnąć całość zagadnienia, żeby (złym zwyczajem warszawskim) nie powracać do niego kilkakrotnie z wielką stratą pieniędzy publicznych i czasu.

Każdą sprawę należy rozwiązywać naprzód w jej linjach głównych, a dopiero do nich stosować stopniowo coraz mniejsze szczegóły. Co jest rzeczą główną w oświetleniu miasta? Do czego służą latarnie uliczne? Do oświetlania ulic. A więc nie do oświetlania gwiazd, księżyca, chmur i górnych warstw powietrza? Tak jest — nie do tego, lecz tylko do oświetlania ulic. No! Dobrze się składa, że na samym wstępie tą, coprawda, bardzo dziecinną metodą, dogadaliśmy się z radnymi stolicy do ustalenia podstawy, na której powinna się wesprzeć całość omawianego zadania. A skoro tak, to teraz małe i skromne pytanie: dlaczego sławetny magistrat Warzsawy zużywa trzy czwarte drogocennego światła na oświetlanie właśnie gwiazd, księżyca, chmur i górnych warstw powietrza? A tylko uboga jedna czwarta światła idzie na oświetlanie ulic? Co ma wspólnego magistrat, lub Rada miasta z gwiazdami i niebem?

Jeśli kto ciekaw, na co idą płacone przez niego podatki miejskie, niech się którego wieczora potrudzi z samolotu, lub z piętra wysokiego popatrzeć na Warszawę. „Morze świateł!“, jak się to mówi poetycznie. Ale poproszę jeszcze o jeden trud... pomyślenia. To „morze świateł“ kosztuje sporo pieniędzy publicznych. Otóż na cztery miljony złotych, które w danym okresie czasu pochłania oświetlenie stolicy, trzy miljony złotych magistrat ciska w gwiazdy i chmury. Czy jesteśmy aż tak bogaci, żeby noc w noc urządzać niebu tak gigantyczne feerje i ogniotryski? I w jakim celu? Żeby sowom i nietoperzom w ich ciężkiej pracy złośliwe figle płatać, w polowaniach przeszkadzać? One, wprawdzie, podatków nie płacą, ale też wzajem z żadnych usług magistratu nie korzystają. Pocóż magistrat, jak ulicznik, ugania się co noc za nimi i to na koszt, na tak olbrzymi koszt obywateli miasta?

Sprawa, w założeniu swojem poważna, wkracza, jak widzimy, w farsowną dziedzinę Kwiprokwoku. Poproszę czytelnika, żeby wziął do ręki ołówek i narysował na kartce papieru koło, a w nim — środek, a od obwodu przez ów środek — dwie wzajem do siebie prostopadłe średnice. Koło — to latarnia. Środek — to jądro światła. A cztery, średnicami zakreślone, trójkątne odcinki — to są cztery kierunki równomiernego promieniowania światła. Otóż tylko jeden z tych czterech kierunków, mianowicie — dolny pada na ziemię. Drugi — górny leci w niebo, a dwa boczne — w przestrzeń, na wiele, wiele kilometrów w dal (poetyczną). A teraz — rachunek. Już chyba prostszego rachunku być nie może? Jedną czwartą część światła latarni otrzymuje ten szmat ziemi (około trzydziestu metrów w średnicy), do oświetlenia którego latarnia jest przeznaczona i postawiona. A trzy czwarte światła leci w niebo i przestrzeń, dla których latarnia jest całkowicie zbyteczna, a nawet, jak to zaraz zobaczymy, — szkodliwa. Jak z tą jedną latarnią, tak samo dzieje się ze wszystkiemi, w jedno „morze świateł“ złączonemi. Na cztery miljony złotych wydatku, trzy marnują się bezużytecznie, a poczęści — szkodliwie.

Nie zrobi to czytelnikowi różnicy, że od arytmetyki przejdziemy do fizyki i techniki światła, a przytem może i radni miasta czegoś się nauczą. Światło jest ruchem, który technika optyczna umie chwytać i nim kierować. Do kierowania światłem służą tak zwane reflektory, przyrządy bardzo proste, a tak cudowne, że nietylko skierowują światło dowolnie, ale jeszcze je przy tej sposobności skupiają i potęgują. Latarnia opatrzona reflektorem w kształcie trzech czwartych kuli (jak stożek) ogniskuje światło na odcinku przestrzeni (naprzykład na ziemi) i czterokrotnie je wzmacnia. Z tego wniosek prosty, że skoro latarnie uliczne mają oświecać ulice, a nie chmury na niebie, to należy je, jak strażaków, ubrać w hełmy reflektorowe. Hełm nie puści światła w niebo i w przestrzeń boczną, ale je spotęguje czterokrotnie i oświetli tylko tyle przestrzeni na ziemi, ile wchodzi w zakres obowiązku danej latarni. Wprawdzie latarnie obecne posiadają daszki od góry, ale tak maleńkie, że nic do wywodów niniejszych niemal żadnej różnicy nie wnoszą, a projektowane obniżenie latarń rachunek nasz całkowicie prawidłowym uczyni.

Powróćmy jeszcze na chwilę do arytmetyki. Postawmy bardzo ryzykowne przypuszczenie, że Rada miasta zapoznała się z niniejszą radą i że sprawiła latarniom warszawskim hełmy reflektorowe. Wtedy, po odtrąceniu amortyzacji tego jednorazowego wydatku, obywatele-płatnicy podatków miejskich będą mieli do wyboru: albo poprzestać na dotychczasowej sile oświetlenia ulic i płacić na światło jedną czwartą sumy obecnej, albo płacić tyle, co i dziś, ale mieć za to oświetlenie ulic czterokrotnie mocniejsze (przy tych samych, co i teraz, żarówkach). Nie będzie, zapewne, plebiscytu w tej sprawie, pozostawmy więc ten miły wybór „czynnikom odpowiednim“, a sami zajmijmy się nieco szczegółowszem wykończeniem pochwał na rzecz tego, tak prostego, pomysłu. Wspomniałem, że obok karygodnego marnowania światła i pieniędzy magistrat zużywa je nietylko na szkodę sów i nietoperzów, ale i na szkodę ludzkich miasta obywatelów. Jak to się dzieje?

Przedewszystkiem poszkodowani są najbliżsi sąsiedzi latarń — mieszkańcy górnych pięter od frontu. Magistrat przez całą noc oświetla im pokoje, chcą czy nie chcą, i to w jaki sposób! Jak stajnie wyścigowe, jak hangary, jak sale fabryczne! Biedni mieszkańcy muszą zapuszczać story, zawieszać grube portjery, żeby obronić się od tego światła ostrego i nahalnego, które bije w ściany poziomo, lub w sufity od dołu. Pocóż te tortury? Hełmy reflektorowe za jednym zamachem uwolniłyby od nich wszystkie piętra górne, poczynając od drugiego. Pierwsze piętra i naziomy (po war-

szawsku — „partery“) o tyle mniej cierpią, że światło latarń wpada tu do mieszkań z góry, a więc przynajmniej pod tym względem — normalnie. I obronić się tu łatwiej, ponieważ wystarczy okno w górnej połowie storą osłonić, aby światła do wnętrza pokoju nie wpuścić. Ale przy odpowiedniej dbałości ze strony magistratu (dalekiej) przyszłości, można i hełmy latarń od strony kamienic tak wydłużyć (rodzajem daszków), że i pierwsze piętra będą od natręctwa światła ulicznego zwolnione.

Następnie poszkodowani są wszyscy mieszkańcy przez to, że latarnie uliczne, zamiast oświecać krąg ziemi bez reszty zbytnich czynności, świecą i kłują wszystkim prosto w oczy. Jest-to zaiste, bandycka metoda posługiwania się światłem. Wiadomo, że bandyta przy napadzie nocnym błyska napadniętemu latarką elektryczną wprost w oczy. To lepsze od piasku i soli. Na ulicach Warszawy nie jedna, ale sto odrazu latarń kłuje ludziom w oczy. Jest to jedna z największych przykrości, a stale trapi tysiące przechodniów Pogwałcono tu elementarną zasadę światła, według której ma ono oświetlać przedmioty, a nie świecić w oczy. Barbarzyństwo ogółu warszawskiego nie doszło jeszcze do najprostrzych reguł życia, bo zresztą, i sale publiczne i sklepy tak samo bezmyślnie oświetla. Lecz Rada miasta na to chyba istnieje, żeby miasto cywilizować. Hełmy reflektorowe i to posłannictwo kulturalne spełnią, bo wtedy będą widoczne tylko dwie lub trzy latarnie najbliższe (w źródle ich światła), a pozostałe dziewięćdziesiąt siedem znikną z pola widzenia, zaś z nieco większych wzniesień, lub dalszych perspektyw — znikną setki tych szpilek uprzykrzonych.

Nie najmniejszym z tych hełmów zyskiem będzie też estetyczny, wręcz artystyczny wygląd, jaki stolica i jej niebo przybierze. Tu nareszcie dotarliśmy do czegoś wspólnego, co łączy magistrat z niebem! Teraz, z powodu owego marnotrawnego i szkodliwego „morza świateł“, w Warszawie nieba nie widać. Gdy po nim księżyc wędruje, to wydaje się być tysiąc pierwszą latarnią, zresztą — najlichszą. Okiełznanie światła od góry i z boków odsłoni mieszkańcom Warszawy niebiosa. Będą widoczne chmury i gwiazdy w całym przepychu, księżyc odzyska swoją rangę pułkownikowską (... tfu! do djabła, co mi pod stalkę wlazło?), wieczność otchłani eterycznych spojrzy w ulice miasta, a może nawet ten i ów mieszkaniec nawzajem odetchnie wiecznością, co jako hygjeniczny „głęboki oddech“ ma swoją cenę sportową. No! i pary miłosne na wiosnę także nieco się upoetyzują i może lepszych manjer nabiorą. Z punktu widzenia malarskiego latarniane hełmy reflektorów uczynią z Warszawy miasto w nocy niezwykłe, mnóstwem efektów kolorowych i światłocieniowych strojne. Wspaniałe będą oświetlenia księżycowe, które teraz w „morzu świateł“ bez śladu giną. Tajemniczo zarysują się sylwety gmachów, świątyń, ulic, ogrodów, co obecnie „morze świateł“ zasłania. I tak dalej, a wszystko to będzie czterokrotnie taniej kosztowało, niż obecna brzydota.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

TEATR

NIEBIESKI LIS

TEATR NARODOWY wystawił dawno niegraną sztukę Ferencza Herczega p. t. „Niebieski lis“. Komedja ta nie jest najlepszem dziełem nieśmiertelnego autora „Gyurkowiczów“, nie mniej jednak podczas kanikuły daję się słuchać z prawdziwą przyjemnością, zwłaszcza że jest grana poprostu koncertowo przez pp. Ćwiklińską, Brydzińskiego, Różyckiego, Biegańskiego i Gromnicką. Jest w tej sztuce autentyczne, niefałszowane wino dowcipu. Wino węgierskie, nie francuskie, wino stołowe raczej niż deserowe, ale wino prawdziwe: Szamorodner przedwojenny z dobrego roku ani trochę nie zwietrzały ani też nie skwaśniały. W tegosezonowym repertuarze Teatru Narodowego przedstawienie „Niebieskiego lisa“ należy do najlepszych widowisk. Niewiarogodne to, ale prawdziwe. Gdybyż bodaj cząstkę tej staranności, z jaką się wystawia błahą komedyjkę Herczego, włożono w „Odprawę posłów greckich“!

ZASTĘPCA

ZMARLI

Ś. P. JULJAN EJSMOND

W ZAKOPANEM zmarł 29 b. m., wskutek katastrofy samochodowej w drodze z Morskiego Oka, wybitny pisarz polski ś. p. Juljan Ejsmond.

Czytelnicy „Myśli Narodowej“ pamiętają jego ostatni artykuł w zeszycie, poświęconym Kochanowskiemu (nr. 23) p. t. „Przyroda, jako źródło dobrej myśli Jana z Czarnolasu“. Temat ten był charakterystyczny dla Ejsmonda; w pisarzach szukał radości życia, a tę znajdował w ich stosunku do przyrody. On sam zawdzięczał swą wartość, jako poeta, bezpośredniemu z przyrodą obcowaniu. Słynął z opowieści myśliwskich. Nawet z racji myśliwstwa pełnił urząd w ministerjalnym Urzędzie lasów. Myśliwstwo szacuje po swojemu zwierzynę, ale on był przedewszystkiem poetą życia leśnego — kochał i znał zwierzęta leśne, przedziwnie je też prozą opisywał. Polował głównie na obrazki myśliwskie.

Miał oko po ojcu malarzu, Franciszku, a humor i talent literacki po dziadku Juljanie Wieniawskim (Jordanie). Patrzył bacznie w życie zwierząt i ludzi, a że znał oba światy, więc bajki jego, w których celował, miały powab świeżej poetyckiej obserwacji, nie były schematyczne w swoich przenośniach do życia zwierzęcego.

Więcej było w nim humorysty, niż satyryka, człowiek bowiem był dobrotliwy. Ja sam zrobiłem mu wymówkę z powodu ostatniego zbioru bajek, że nie sięga w sferę polityki, gdzie satyra ma wiele u nas do zdziałania. Ś. p. Ejsmond nie lubił polityki, może dlatego, że w tej dziedzinie serce polskie nie pozwalało mu śmiać się beztroskliwie. W ostatnich czasach spróbował tej satyry, ale nie uszanowano jego dobrego prawa bajkopisarskiego i dano mu dymisję, jako człowiekowi niebezpiecznemu. Zaledwie zdołano go uratować przed drapieżnością ludzi, do których indywidualnie nawet nie celował. Opinja publiczna była żywo poruszona niekulturalnością stosunków, które pozwalały w ten sposób reagować na literaturę. Ejsmond miał popularność i był lubiany powszechnie.

Warszawianin, urodzony 1882 r., na uniwersytet przeniósł się do Krakowa, gdzie ukończył wydział humanistyczny. W wolnej już Polsce służył wojskowo, odznaczony był za waleczność; ukończył szkołę uzupełniającą w St. Cyr; wystąpił z wojska w randze kapitana. Pracował jako urzędnik, ale nie ustawał w pracy literackiej, którą też pomagał sobie w utrzymaniu rodziny (dwu synów). Bardzo się zasłużył przekładem dzieł łacińskich Kochanowskiego. Teraz, na jubileusz, ukazało się drugie wydanie tego przekładu, za który otrzymał nagrodę państwową w r. 1919. Przełożył też Owidjusza „Sztukę kochania“.

Lista jego dzieł zaczyna się od „Bajek i prawd“ z r. 1912. Wydał baśni dla dzieci, autologję bajki polskiej (1915). Własne „Bajki“ wydał w r. 1925. W ostatnich latach wydał prozą trzy tomy myśliwskie („Puszcza“, „Drzewa“, „Moje przygody łowieckie“).

W dziejach literatury polskiej z uznaniem zapisany będzie między tych, którzy przyczyniali blasku i ciepła zarówno literaturze, jak życiu.

Z. W.

ERRATA: W artykule Simplexa w nr. 25 na str. 389, szp. 1 wiersz 7 od góry powinno być „13 km. pasów skórzanych“ (zam. „pastwisk zrabowanych“), a w szp. 2 w. 12 ma być „*durchwintern*“.

OFENSYWA

RÓŻYCZKI I KOLCE

BARDZO się dobrze stało, że Boy-Żeleński „spasował" na razie z tej swojej nieco niezgrabnej, antycznej i nie aktualnej propagandy antyreligijnej i antykonsystorskiej i powrócił do tej swej pracy, która stanowi żelazny kapitał jego zasługi literackiej i dla której wszyscy bez różnicy płci, maści, wyznań i orjentacyj są i będą zawsze z pełnym respektem t. j. do tłumaczeń z literatury francuskiej i jej popularyzacji. Te jego wynurzenie o autopropagandzie, o „prospektach", o jego energicznem wzięciu się do samoistnej wydawniczej pracy, były bardzo interesujące, pełne wigoru i nowej inicjatywy i optymizmu. Niepotrzebnie się tylko rozsierdza zaraz, gdy jakiś jegomość z prowincji, słysząc wiele niedobrego o „Konsystorskich dziewicach" itp. identyfikuje Boya tłumacza z Boyem z *anno 1929*, który w swoich wystąpieniach kilka razy się potknął. Tak bowiem w Wielkopolsce jak i na Pomorzu dobrzeby się stało, gdyby tomy Pascala, Montaigne'a, Montesquieu, Moliére'a, Stendhala rozeszły się, i to oby w największej ilości, natomiast te wszystkie rewelacje Boyoskie o Xawerze Deibel i Mickiewiczu jako erotyku, a dalej te agitacje za spędzaniem płodu i to wyszydzanie kleru katolickiego i t. p. możnaby śmiało ograniczyć tylko *ad usum* Warszawy z przyległościami.

Nie należy też przesadzać zbytnio w ocenie wagi i walorów tych tłumaczeń Boyoskich w dziedzinie i w rozwoju zbliżenia przyjaźni intelektualnych polsko-francuskich. Na tym terenie bowiem nadal idzie wszystko jak po... grudzie... Znowu sezon jeden minął, a żaden teatr francuski nie wystawił ani jednej sztuki polskiej (2 czeskie, 2 węgierskie). Nadal literackie pisma paryskie przepełnione są referatami z wszystkich literatur świata a o polskiej minimalnie. Nadal każdy autor niemiecki czy sowiecki, choćby debiutujący od niedawna, już jest tam omawiany i tłumaczony i komentowany obficie, a o nas cisza, czasami się wydaje, że nawet *conspiration du silence*. Na tle tak bagatelnego i lekceważącego nas traktowania przesadza się oczywiście niesłychanie, gdy któreś nazwisko polskie po usilnej presji propagandowej zyska tam sobie na moment choćby jakieś przemijające uznanie.

Świeżo z okazji obdarzenia Sieroszewskiego komandorją Legji Honorowej (wyproszonej przez M. S. Z.) przesadziła tak mocno, referując nam o tem niestrudzona, nieznużona i w zakresie działalności swojej bardzo zasłużona pani Róża Bailly. W korespondencji do „Poranniaka" tak pisała o tych uroczystościach paryskich:

„Wobec głuchego milczenia paryskich korespondentów pism polskich, zmuszona jestem zabrać głos na szpaltach prasy warszawskiej, aby Wam oznajmić, że Francja czci i miłuje Sieroszewskiego. Usynowiła go, rozmiłowała się w nim od pierwszego wejrzenia — tam, w sali Wielkiego Amfiteatru Sorbony, podczas wspaniałych uroczystości, które będą miały doniosły wpływ na dalszy rozwój przyjaźni francusko-polskiej".

Poczem dalej w tym stylu emfatycznym że „Paryż intelektualny z czcią wymawia jego imię", że „prasa... jak jeden mąż pochyla przed nim głowę" i t. p. .. szarżowania. Najzabawniejszy jest jednak ustęp o marszałku Lyautey:

„Pragnąc uczcić Sieroszewskiego i jednocześnie zdobyć magnes dla publiczności francuskiej, zaprosiliśmy na przewodniczącego uroczystości Marszałka Lyautey'a. Marszałek Francji — oto osobistość, którą się nie szafuje. Poza tem Lyautey jest jedną z najwspanialszych postaci naszej historji, często też przyrównywano go do wielkich kolonizatorów rzymskich.— Piętno egzotyzmu, które na nim wycisnęła jego działalność w Maroku, zbliża go z Sieroszewskim, którego część dzieła i życia miały za tło Syberję i Daleki Wschód. Wiadomo ponadto, że Lyautey ma słabość do Jakutów... Niestety! Marszałek, obciążony zaszczytami i wiekiem, nie mógł przybyć na uroczystość. Lecz imię jego pozostanie złączone z imieniem Sieroszewskiego — we Francji i zagranicą — a to przecież rzecz najważniejsza".

Czy imię marszałka Lyauteya zostanie odtąd... złączone *(sic)* z imieniem Sieroszewskiego... tylko dlatego, że zaproszony jako magnes *(sic)*... mimo swej słabości do... Jakutów *(sic)* marszałek do Sorbony nie przyszedł... no to jeszcze pytanie.

Ta sama, tak zresztą wyjątkowo sympatyczna i szlachetna pionierka literatury polskiej we Francji, po fejletonie Boya o „Prospektach" wystosowała doń list wydrukowany zaraz w „Poranniaku" w którym jest taki ustęp:

„Pańskie fejletony są zawsze niesłychanie interesujące. Ale jeden z nich zwłaszcza trafił mi szczególnie do serca, tak bardzo przypomina mi moje własne doświadczenia. To ten o prospektach. Czy pozwoli mi go pan przetłumaczyć i zamieścić w Przeglądzie Przyjaciół Polski? A już szczytem uprzejmości byłoby, gdyby pan nam przysłał fotografję, towarzyszące temu artykułowi w „Kurjerze Porannym", w szczególności tę, na której pan sam wrzuca prospekty do skrzynki pocztowej przy ulicy Smolnej".

Do listu tego Boy dołącza taki komentarz:

„Tak więc, na dwóch krańcach Europy, cementuje się zbliżenie Polski i Francji zapomocą — prospektów".

No to jest stanowczo emfaza i przesada. Prospekty Boya na jego dzieła, rozsyłane wedle adresów z książki Mossego są pomysłem handlowo-komercjalnym bardzo udanym, ale to żeby one przyczyniły się „na dwóch krańcach Europy" do cementowania „zbliżenia" Polski i Francji... no to jest conieco groteska.

Reklamujcie się dziateczki, reklamujcie! Nie trzeba bagatelizować reklamy, nie trzeba. Ale we wszystkiem trzeba zachować pewien umiar, francuski umiar i nie zatracać poczucia tego, co śmieszne, co ośmiesza. Podczas uroczystości i spektaklu z Sieroszewskim w Sorbonie, prócz naszych rodaków, 9/10 publiki nie wiedziało, bo wiedzieć nie mogło: w czem rzecz? i kto zacz? marszałek Lyautey też nie mógł mieć najmniejszego pojęcia o wyobrażeniu, kto to taki. I ani ta komandorja Sieroszewskiego, ani te „prospekty" Boya żadnego, ale to żadnego wpływu na rozwój przyjaźni francusko-polskiej mieć nie będą. Oby miały choć minimalny na rozejście się książek jednego i drugiego.. w kraju.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Prasa „sanacyjna" niesłychanie oburzona jest uchwałą krakowskiego kongresu stronnictw centrowo-lewicowych, dotyczącą p. Prezydenta Rzplitej.

Obóz „sanacyjny" jest konsekwentny. Wszak w maju r. 1926 stwierdził ponad wszelką wątpliwość, jak dalece przeciwny jest wciąganiu osoby Prezydenta Rzplitej w wir walk politycznych i jak bezwzględnie szanuje majestat tego najwyższego w Państwie urzędu. Wszak hasło wzmocnienia władzy Prezydenta, uczynienia zeń nie reprezentanta tylko, ale czynnika istotnie „nadrzędnego", rzeczywistego kierownika całej polityki państwowej, było naczelnem hasłem oraz myślą przewodnią wszystkich projektów naprawy Konstytucji, które zrodziły się w „obozie pomajowym". Przewrót majowy — jak nieustannie powtarzają jego twórcy — dokonany został właśnie w tym celu, ażeby Prezydent Rzplitej nie był jedynie figurantem, maszyną bezwolną do podpisywania podsuwanych mu aktów, lecz samodzielnym, własną decyzją rozstrzygającym, od wszelkich ubocznych względów niezależnym, rzeczywistym sternikiem Państwa. Właśnie z tej racji, na stanowisko Prezydenta Rzplitej, zwycięzcy majowi uznali za najodpowiedniejszą — kandydaturę prof. Ignacego Mościckiego.

Przypominamy naszym czytelnikom o odnowieniu prenumeraty na drugie półrocze — 17 zł., lub kwartał III b. r. — 9 zł.

Nieopłacone egzemplarze za kwartał II zostają z dniem 1 lipca wstrzymane.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.